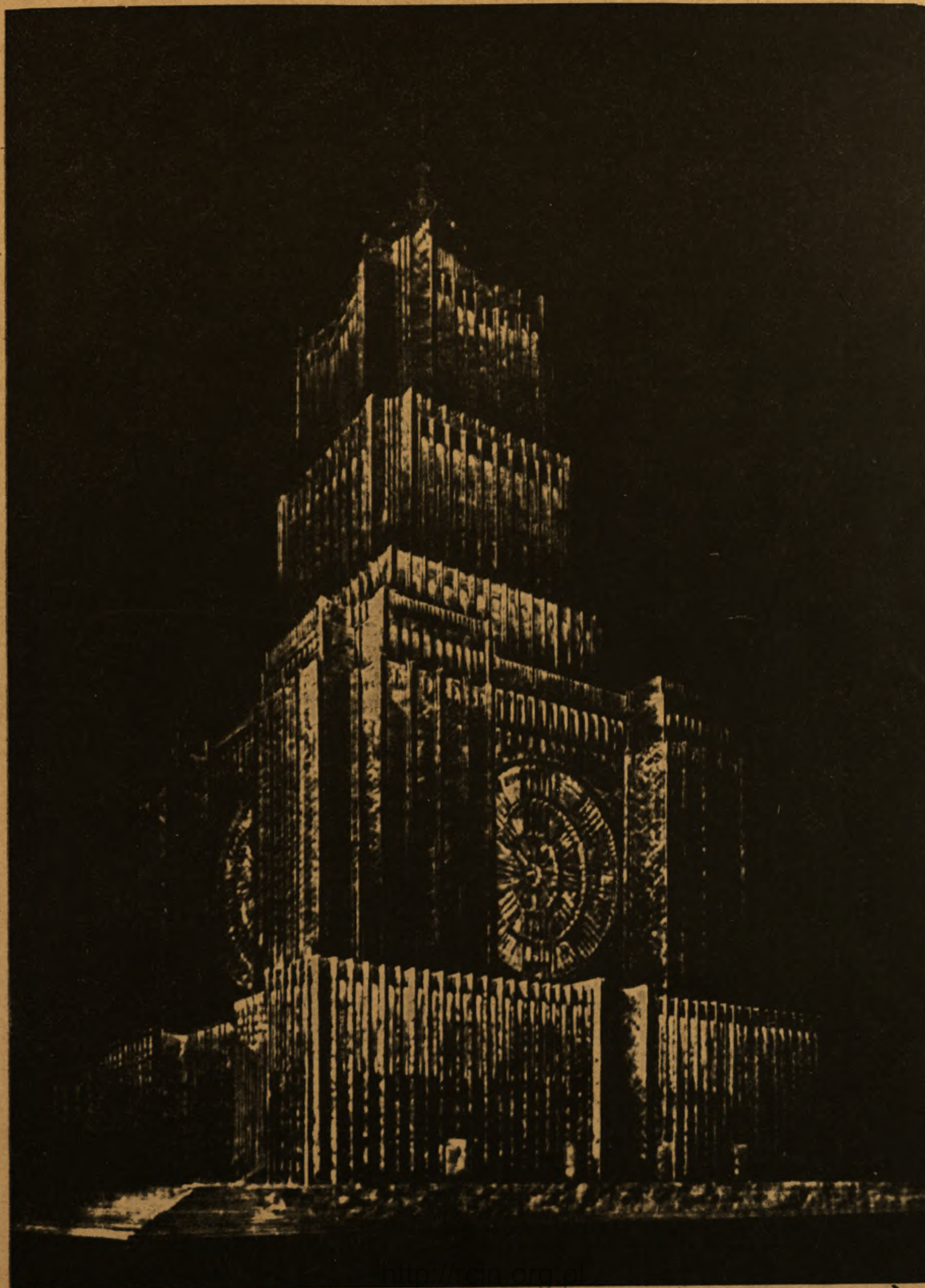
RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK VIII WARSZAWA LUTY—1934



ŚWIĄTYNIA OPATRZNOŚCI. | PROJEKT A. PNIEWSKI.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł. 700, 1/2 — zł. 380, 1/4 — zł. 200, 1/8 — zł. 120, 1/16 — zł. 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	R. mk. 5	Ameryka	dolary 1.50
Francja	frank 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł.; KWARTALNA — 2.00 zł. Cena POJEDYŃCZEGO nru. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefon: 240-15 P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

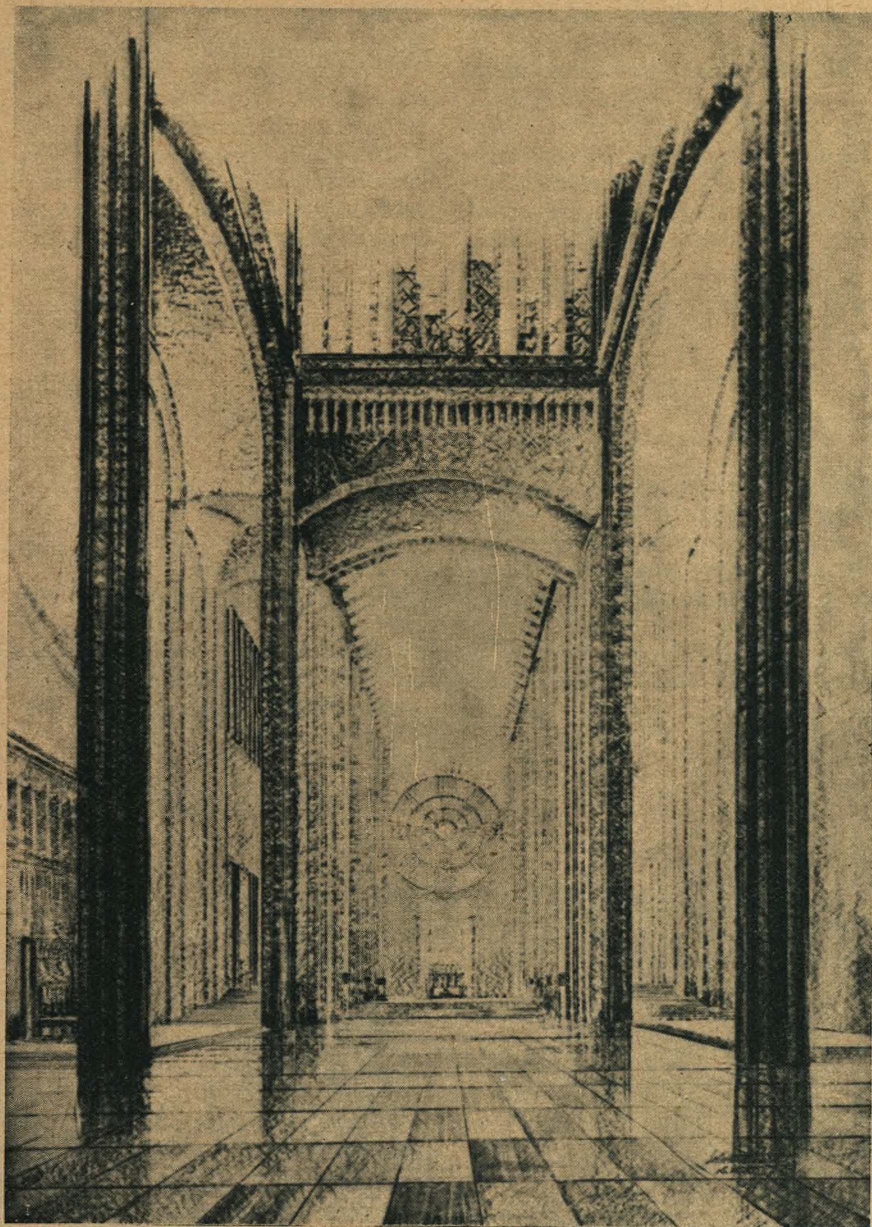
RODZINA POLSKA



MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



ROK VIII. WARSZAWA, LUTY 1934.



Główna nawa świątyni Opatrzności

proj. B. Pniewski.

W numerze dzisiejszym przypominamy opinji publicznej wielką sprawę votum narodowego wzniesienia świątyni Opatrzności.



WZNIEŚMY BOGU ŚWIĄTYNIĘ

W odpowiedzi na zaproszenie Redakcji naszej nadesłano nam wielce łaskawie następujące pisma:

Poche volte, nella storia, una stipulazione — mi si passi la parola — dell'uomo con Dio fu così solenne e commovente come quando il Popolo Polacco per voce dei suoi Rappresentanti promise alla Provvidenza Divina l'erezione d'um tempio votivo per la sua ricostituzione nazionale. Ed, ottenuto alfine prodigiosamente, largamente, il compimento di tale aspirazione, poche volte, come oggi, egli deve sentire in sè la forza di quell'antica massima di Ulpiano: „Si quis voverit, voto obligatur"...

S'inalzi, dunque, al più presto, dal suolo della vecchia martire Varsavia, su, verso il cielo della gloria, il monumento giurato a Dio. Con ció, si farà opera di fedeltà e di giustizia insieme, di fede, di amore, di onore. Possa io esser giudicato degno di arrivare a vedere quel tempio, o Polacchi, per ringraziare e pregare, inginocchiato con voi!

Nie wiele było w dziejach przykładów ugody — jeżeli tak wolno powiedzieć — między człowiekiem a Bogiem, zawartej tak uroczyście i tak wzruszająco, jak wówczas, gdy naród polski przez swych przedstawicieli ślubował Opatrzności Bożej wzniesienie świątyni wotywnej, w podzięce za odrodzenie narodowe. A kiedy wreszcie pragnienia jego ziściły się w sposób tak cudowny i wspaniały, naród ten, właśnie dziś, jak nigdy, winien odczuć moc owej pradawnej zasady Ulpiana: „Si quis voverit, voto obligatur"...

Niech więc jak najprędzej wzniesie się na ziemi starodawnej męczennicy-Warszawy ku niebu chwały ślubowany Bogu pomnik. Przez to zostanie dopełnione dzieło wierności i sprawiedliwości zarazem, dzieło wiary, miłości, i chwały. Oby mi było sądzone, o Polacy, ujrzeć oną świątynię i zanieść w niej na kolanach wraz z wami modły dziękczynne i prośbę błagalną.

Warszawa, 29 stycznia 1934 r.

+ F. Marmaggi

Arcybiskup Adrjanopolski
Nuncjusz Apostolski.

Zbudowanie świątyni Opatrzności to ślub, uroczyście przez przodków naszych złożony, a przyjęty uroczyście przez współczesne nasze pokolenie.

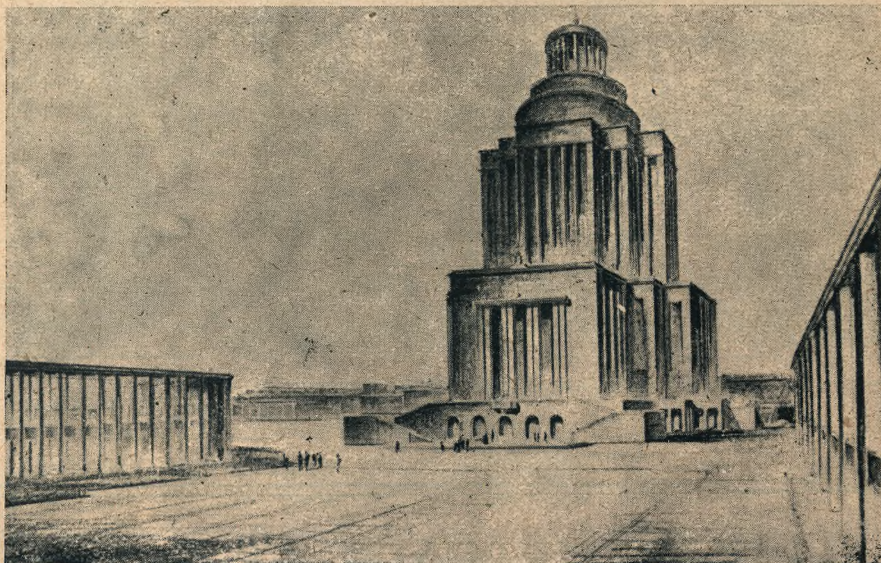
Zbudowanie świątyni Opatrzności to ślub wdzięczności onych, co Konstytucję Trzecio-Majową ogłosili, ale i ślub wdzięczności tych, co się odrodzenia niepodległej Polski doczekali.

Spełnienie tego zobowiązania ciąży na całym narodzie polskim, przedewszystkiem zaś na nas, cośmy cud odrodzenia Polski na własne oczy oglądali.

Pamiętajmy, co święty Anzelm był napisał, że gdy człowiek ślub złożył, aby się Bogu podobał, niech się śpieszy spełnić, co ślubował, aby się więcej spodobał. A o ile uroczyściej ślubowano, tem ślub większej nabiera zasługi. Zawołam tedy z Psalmistą: „Polsko, ofiaruj Bogu ofiarę chwały, a oddaj Najwyższemu śluby twoje" (Ps. 49, 14).

Warszawa, 1 lutego 1934 r.

+ Aleksander Kardynał Kakowski



Pierwotny projekt Świątyni Opatrzności.

FEDERACJA VOTUM OPATRZNOŚCI

Jest w naszem życiu społecznem wiele spraw zapomnianych i zaniedbanych. W ich liczbie znalazła się, niestety, i sprawa wzniesienia Świątyni Opatrzności. A przecież nie po raz pierwszy cały naród wyraził solenne votum wybudowania tej świątyni, jako wyrazu swej wdzięczności za opiekę Najwyższego nad sobą. I nie dotrzymuje swej przysięgi i zobowiązania. Całą tę doniosłą, z punktu widzenia moralnego i społecznego sprawę, mieliśmy niedawno sposobność poruszyć z członkiem Komitetu Federacji votum narodowego.

— Piętnastolecie naszej niepodległości — zagajam rozmowę — nasuwa mi na myśl moralne zobowiązanie, jakie ciąży na całym narodzie w formie wybudowania Świątyni Opatrzności, jako pomnika wdzięczności za przywróconą wolność.

Mój rozmówca chwilę patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć: cóż to się stało, że ktoś tę sprawę porusza?

— Wdzięczność naszego społeczeństwa, bardzo kapryśna i nieskora. Cała sprawa utknęła w miejscu od lat nieomal dziesięciu.

— Ogłoszono przecież konkurs na projekt świątyni?

— Nawet dwa. I to zapłacone z publicznych środków. Jeden się jednak nie udał. Projekty były cokolwiek pogańskie. Z drugiego wyszedł natomiast piękny i oryginalny projekt. Ba, cóż z tego, skoro już jego techniczne opracowanie utknęło.

— Dlaczego?

— To sprawa dosyć zawiła. Krótko mówiąc, chodzi o sfinansowanie tych robót. Ciężar ten chce się przenieść na barki Federacji.

— Tymczasem?

— Tymczasem jest przecież inne ciało powołane do tego, które powinno rozporządzać w myśl uchwały sejmu rocznie pewnym kredytem na cele budowy. Komisja ta składa się z przedstawicieli obu izb rządu, a także zaproszonych delegatów Episkopatu, wreszcie reprezentanta Fundacji. Niestety wobec braku odpowiedniej pozycji w budżecie, na tem się wszystko kończy. Nic nie może ona robić. Stąd od Fundacji, która przecież w obecnych warunkach odgrywa rolę pomocniczą, wymaga się nakładów zasadniczych.

— Jakiż jest więc cel Federacji?

— Gdy świątynia będzie już wzniesiona, Federacja przyczyni się do upiększenia wnętrza, np. przez wzniesienie ołtarza i inne akcesoria. Federacja otrzymała w tym celu szereg darów: lichtarze, dzwony, wykonane przez stocznię gdańską, według projektów A. Borawskiego, sarkofag etc., jak pan stąd widzi rola Fundacji jest zupełnie specjalna i ograniczona. Gdyby nam powierzono cały obowiązek wzniesienia świątyni, wtedy oczywiście co innego. W obecnych warunkach nie możemy jednak rozpraszać naszych środków na cele, które mają być pokryte ze specjalnego funduszu publicznego.

— Słowem obecny stan jest niezadowalający?

— Niestety. Istnieje niejasność, brak jest potrzebnej aktywności ze strony powołanego ciała, a państwo, jak dotąd, nie kwapi się do stworzenia potrzebnej pozycji budżetowej.

— A gdzie ma stanąć świątynia?

— I to także było długo niewyjaśnione. Jak zwykle, moc pomysłów mało realnych. Wreszcie przeznaczono i nawet formalnie przekazano plac na Mokotowie. Został wzniesiony nawet krzyż, ale przeszkadzał naszym lotnikom, więc niedługo stał.

— Widać nasze orły czasem nisko latają? — Mój rozmówca uśmiecha się i na chwilę milknie. — Jakieś dziwne sprzysiężenie niepowodzeń — dorzucam jeszcze.

— Doprawdy. Wyglądałoby na to. A przecież sprawę można by szybko wyjaśnić. Należałoby ustalić, kto ma wreszcie praktycznie — podkreśla to słowo — rzecz całą przeprowadzić i skoro nie będzie można inaczej zdecydować, całkowite wykonanie przez inicjatywę społeczną. Wtedy okaże się, jestem tego pewien, że społeczeństwo da sobie radę, że jest ofiarne.

— A dotąd?

— Ofiarność nie ustaje. Niepewność jednak co i jak będzie, działa hamująco. Składanie pieniędzy na cel, którego urzeczywistnienie jest bliżej nieznane, nikogo nie pociąga. A przecież był czas, kiedy w krótkim czasie złożono przeszło 100.000.

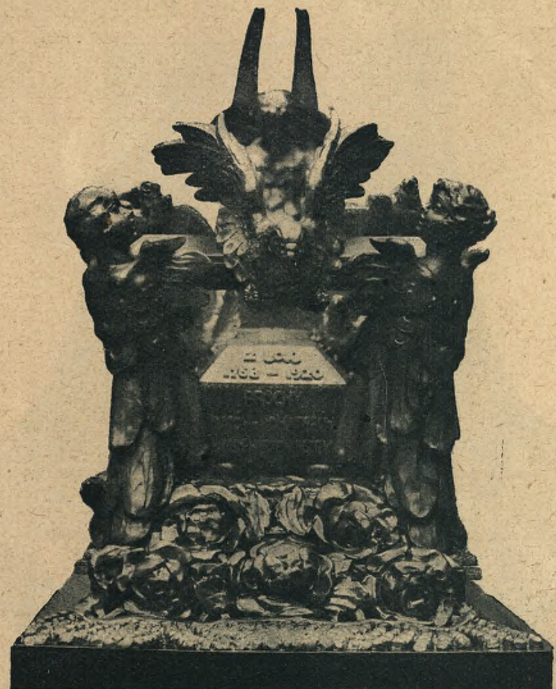
— Jakaż więc przyszłość sprawy?

— Winno się odezwać sumienie publiczne, poczucie honoru narodowego. Są święte zobowiązania, których za wszelką cenę dotrzymać należy, a zwłaszcza zobowiązanie z tytułu wdzięczności względem Boga.

— Myślę — dorzucam głośno — że teraz, wobec tak pomyślnego przebiegu pożyczki narodowej i osiągniętych stąd nadwyżek, możnaby wstawić do budżetu pierwszy przyobiecany od lat miljon, na budowę świątyni?

— Wszystko można, tylko trzeba chcieć. Niewątpliwie zasłuży się wielce ten, kto przyczyni się do spełnienia ciążącego na narodzie i państwie zobowiązania.

Józef St. Czarnecki.



Sarkofag, strona frontowa.
A. Borawski.

DZWONY OPATRZNOSCI

J. Em. Ks. Kardynał Kakowski, akceptując w roku 1928 propozycję zgłoszoną przez dyrekcję Stoczni Gdańskiej przygotowania daru dla kościoła Opatrzności Bożej, z czterech dużego rozmiaru dzwonów, — zapragnął nadać im wartość pomnika historycznego. Zostało to szczęśliwie zrealizowanem. A zarząd Federacji Votum Narodowego ma od roku 1929 do rozporządzenia, z pierwszego daru dla kościoła Opatrzności, instrument niezwykły, który powinienby na falach radja polskiego przypominać Polsce i jej obywatelom, rozsypanym po całym świecie, obowiązek spełnienia danej Bogu przysięgi: wzniesienia świątyni na znak wdzięczności za odzyskaną niepodległość.

Dzwony, wykonane i ofiarowane przez Stocznię Gdańską, są w swoim rodzaju żywym, bo obdarzonym nietylko w głos, ale i w wyraz pomnikiem.

Tym wyrazem przemawiają z wyrytych na dzwonach obrazów ludzie, którzy, żyjąc w naszym narodzie — mocą swego ducha unosili rodaków do tych wyżyn, z jakich i dziś, z poza grobu, do nas się odzywają.

Oddawna istnieje pojęcie, że dzwony są głosem Boga i narodu.

Aleksander Borawski, artysta-rzeźbiarz i malarz, w czasie swego pobytu w Rosji, podjął w okresie wielkiej wojny zadanie ratowania zabytków narodowych. Zapoczątkował tym sposobem mającą nastąpić rewindykację i reewakuację. Wtedy to zetknął się z olbrzymią ilością dzwonów kościelnych, zrabowanych przez Rosjan w momencie wycofywania się z naszej polskiej ziemi.



Dzwon Wilna „Kazimierz". A. Borawski.

Zastanawiając się nad wartościami tego przedmiotu pod względem muzycznym, historycznym, paleograficznym i artystycznym, podjął głębsze studjum tego przedmiotu, ujmując je w pracy p. t. „O ludwisarstwie i dzwonach w Polsce" i w wielu artykułach, drukowanych w prasie polskiej.

Przedewszystkiem uderzyło go to, iż żaden z narodów, posiłkujących się tym bardzo rozgłośnym, a wszechstronnie stosowanym, — ale bardzo ukochanych i szanowanym instrumentem — nie zdobył się na obrazowanie na nim swoich przeżyć dziejowych, — bądź minionych, bądź z chwili — kiedy dzwon był wykonywanym.

To wszystko było dostatecznym powodem do dalszych studjów przedmiotu, — do zbadania wymagań dzwonolejnictwa. Wtedy przekonał się, że ludwisarz, w swej dbałości o wartość dźwiękową i ogólnie akustyczną, unikał wszelkiemi sposobami ozdabiania dzwonu płaskorzeźbami, dając mu jak najbardziej gładką, czystą powierzchnię.

Nie powstrzymało to jednak artystę Borawskiego od przełamania tych obaw i sprawienia, żeby dzwon przemawiał do duszy ludzkiej nietylko przez słuch, ale i przez wzrok, — aby epizodem historycznym, wyrażonym na jego powierzchni, — zmuszał naród do głębokiego wniknięcia w jego nawoływania, wygłaszane przepotężną wprawdzie mową — ale pozbawioną słów.

Bliższe zrozumienie owych wymagań stanie się dostępniejszem wtedy, gdy do dzwonów kościelnych będzie wygodny dostęp i gdy tematy dane na dzwonach po rozwinięciu na płaszczyźnie, jako płaskorzeźby będą wmurowywane w dolnych miejscach ścian kościoła.

Powodowany tą myślą już na 17 dzwonach wyobraził takie tematy, jak: walkę o niepodległość z lat 1768—1920, stuletnią niedolę, wyzwolenie w latach 1914—1920, odrodzenie Polski, wdzięczność polskiego narodu, opiekę Najśw. Panny nad dziećmi, łączność ze świętymi patronami kraju, zgodę bratnią ojców naszych, Cud nad Wisłą, zaślubiny Polski z morzem, siłę duchową narodu polskiego w przeciwieństwie do siły przed prawem, rozwój Kościoła Chrystusowego w Polsce, wezwania św. Stanisława Kostki, świetlane drogi Staszica, tragedję sowieckiej Rosji, zarazę bolszewicką w całym świecie.

Pierwsze usiłowania we wskazanym wyżej kierunku pobłogosławił Ojciec św. Pius XI w 1925 roku, — jako te, „które symbolizują męczeństwo Polaków za wiarę świętą i Ojczyznę". A na Powszechnej Wystawie Krajowej w 1929 roku w Poznaniu stwierdzono i nagrodzono najwyższym odznaczeniem wartość głosową i artyzm dzwonów, uzupełnionych zdobnictwem historycznem, zapoczątkowującem nową erę w dzwonolejnictwie.

Te oto rezultaty upoważniają do twierdzenia, że artyści-plastycy, tworząc tego rodzaju pomniki o wiecznej trwałości, dadzą światu mówcę, odzywającego się do wszystkich w imię minionej, a jednak niezamarłej przeszłości.

O ile dzwon zwykły, t. j. dzwon dawny, swoim głosem utrwalał związek religji ze światem, łączył Kościół z narodem, — o tyle dzwon, ozdobiony wyobrażeniem momentu dziejowego, staje się czemś więcej jeszcze, — więcej niż pamiątką przeszłości — bo programem na przyszłość.

W największym dzwonie kościoła Opatrzności, zaopatrzonym w słowa ks. biskupa Woronicza, zaczerpnięte z hymnu do Boga: „Ty się za nas ująłeś, Zbawco uciśnionych“, są postacie: Matejki, Chopina, Mickiewicza, Konarskiego, A. Szczepanowskiego, Zygmunta Sierakowskiego, arcyb. Szczęsnego Felińskiego, Kościuszki, Róży Sobańskiej, Despota Zenowicza. W drugim dzwonie — Staszic i Klaudyna Potocka wskazują dzieciom drogę po gwiazdach do Najśw. Panny, idą z wezwaniem: „Dawna nasza Ty Królowo, Ty za nami przemów słowo, weź w opiekę“. W dzwonie trzecim święci polscy obchodzą całą wokół ojczyznę z imieniem Chrystusa na ustach, są tu: pod Górą Trzykrzyską w Wilnie — królewicz Kazimierz, pod Ostrą Bramą — Józefat Kuncewicz i Andrzej Bobola; u wrót Lwowa — Jan z Dukli; u stóp Wawelu w Krakowie — Jan Kanty, Jolanta, Kunegunda, Stanisław biskup; pod murami Katowic — Jadwiga Śląska; na tle Poznania i Pomorza — Salomea, Wojciech; Bronisława za Jackiem Odrowążem, on do stolicy Warszawy się zbliża, gdzie patronuje Ładysław z Gielniowa, — tu Stanisław Kostka zaniepokojony stoi; a kronikarz Wincenty Kadłubek Częstochowskiej Świętości strzeże... Niżej prośba: „O wy, Święci, polskiej ziemi Patronowie, przyczyńcie się za nami“. Dzwon czwarty, z portretem J. Em. Ks. Kardynała Kakowskiego, przypomina poświęcenie miejsca, wybranego pod budowę kościoła Opatrzności, a w wypisanych na tarczach imionach odnajdujemy takich zasłużonych obywateli, jak: ks. Albin Dunajewski, ks. Zygmunt Szczęsny Feliński, ks. Florjan Stablewski, Tadeusz Kościuszko, Kazimierz Pułaski, Jan Henryk Dąbrowski, Józef ks. Poniatowski, Romuald Traugutt, Piotr Wysocki, Walerjan Łukasiński, Barbara Żulińska, ks. Adam Czartoryski, Stanisław hr. Małachowski, Jan i Jędrzej Śniadeccy, ks.ks. Andrzej i Józef Załuscy, Józef Maksymiljan Ossoliński, Karol Marcinkowski, ks. Gabriel Baudouin, ks. Albert Chmielowski, Józef Ignacy Kraszewski, Cecylja Zyberk-Plater, Aleksander hr. Fredro, Aleksander Głowacki (Prus), wreszcie: Adam Mickiewicz, Juljusz Słowacki, Zygmunt Krasiński, — i jedno doniosłe błaganie: „Boże, spuść zgodę i moc ducha‘ (ze słów Staszica).

Miljon takich imion z okresu niewoli należałoby przypomnieć na wielu dalszych dzwonach, aby się stale ojcowie-męczennicy do nas i potomnych odzywali.

Jak się wywiązała Stocznia Gdańska z zadania, którego spełnieniem chciała dogodzić żądaniu J. Em. Ks. Kardynała — dowodzi ocena, wydana przez znakomitego znawcę muzyki dzwonowej, ks. dra. Gieburowskiego, którą w całości podajemy, jako świadczącą o bardzo wnikliwem zbadaniu tych przedziwnych instrumentów.

SARKOFAG

W związku z zapadłem postanowieniem, że kościół poświęcony Opatrzności Bożej, ma być też i świątynią narodową, — że w nim mają się znaleźć pomniki zasłużonych wobec Boga i Ojczyzny Polaków, — został zaprojektowany i w modelu plastycznym przez Aleksandra Borawskiego wykonany sarkofag, przeznaczony do złożenia w nich prochów wiernych obywateli, z okresu niewoli.

Autor usprawiedliwia swoją ideę następującem objaśnieniem:

„Wawel z katedrą i zamkiem będzie nam zawsze w Polsce potężnym dokumentem minionej przeszłości, — ale dokumentem niepełnym. My, zrodzeni do nowego w Polsce życia, czując w sobie jeszcze ciepło krwi najbliższych przodków, nie odnajdujemy na Wawelu zwierciadła, któreby nam odbiło tych rodziców wizerunek; tak nam, jak i następcom naszym niezbędny, aby nie ginęła pamięć pielęgnowania najgłębszej czci i wdzięczności, do jakich jesteśmy pod grozą wyklęcia nas niewdzięcznych zobowiązani. Tej to czci i wdzięczności niezniszczalnym znakiem powinienby być w wotywnym kościele Opatrzności sarkofag, mieszczący w sobie relikwje narodowe, prochy polskich Bohaterów i Męczenników z lat 1768—1920. Otoczyć go mogą wizerunki tych, co zginęli z rąk katów i na wygnaniu jako i tych, co wśród cierpień i niedoli, na ziemi polskiej i w rozsypce po ziemiach obcych — pozostali zawsze wierni sztandarowi Ojczyzny. Wypisane tu ich wezwania i zaklęcia, ich przestrogi i nauki muszą być przez nas odczytywane i rozumiane, — przez nas i następców w życiu narodowem stosowane. Potomkom rodaków wygnańców i emigrantów, których straszny los rozniósł po całym świecie, należałoby zalecić odszukanie, zebranie i manifestacyjne przewiezienie do stolicy odrodzonej Polski prochów ich ojców, dobrych obywateli i obywatelek, — aby tu, po połączeniu z takiemiż prochami, zebranemi z ziemi rodzinnej — móc je złożyć w trumnie ze stali wykutej (wstawionej do wnętrza sarkofagu), — podesłanej kobiercem z róż miłości najserdeczniejszej i szczerych łez sperlonych”.



Dzwon Warszawy „Jan“. A. Borawski.

WARTOŚĆ MUZYCZNA DZWONÓW OPATRZNOŚCI

Na samym wstępie zaznaczyć wypada z naciskiem, że nowe dzwony tak w odlewie, jak w formie, są dziełem udałem wspaniale. Na pierwszy rzut oka podpada bogata ornamentyka, nałożona w sposób dyskretny, umiejętny i wysoce artystyczny, na płaszcz dzwonowy. Na ornamentykę składają się sceny z polskiej historji. Jest zasadą w praktyce giserskiej, i to zasadą stokrotnie wypróbowaną, a z punktu widzenia dźwiękowego i wogóle akustycznego absolutnie polecenia godną, by płaszcz dzwonowy chronić od nadmiaru ozdób ornamentacyjnych, by, o ile możności, dać mu powierzchnię gładką i czystą. Jeżeli chodzi o nowe dzwony, przeznaczone dla Kościoła Opatrzności, to podkreśla się z przyjemnością, że niebezpieczeństwo defektów dźwiękowych zredukowano tutaj do „minimum". Ozdoby ornamentacyjne występują na płaszczu dzwonowym tak delikatnie i misternie, że zlewają się z powierzchnią płaszcza dzwonowego omal w jedną płaszczyznę. Mimo to są wyraźne i nader plastyczne. Ornamentacje stworzyła myśl artystyczna i ręka p. Borawskiego, artysty-rzeźbiarza z Warszawy.

Strój dzwonów zaprojektowany był na tony: cis' — e' — fis' — gis' — cis dla największego z dzwonów o wadze 47 centn., e' dla następnego o wadze 28 centn., fis' dla trzeciego o wadze 21 centn., gis' dla najmniejszego o wadze 12 centn. Zapomocą specjalnych narzędzi akustycznych działających z nieomylną precyzyjnością, stwierdzono w tonach podstawowych i w głównych tonach ubocznych strój następujący:

I. Waga: 47 centn., ton podstawowy: cis' + 2/5, Tercja: e' + 1/5, Kwinta gis' — 1/5. II. 28 centn., e' — 2/5, g' — 2/5 h' — 1/5. III. 21 centn., fis' + 1/5, a' — 1/5, cis'. IV. 12 centn., gis' + 1/5, h' + 1/5, dis' — 3/5.

Z zestawienia powyższego wynika, jak doskonale utrafiony jest w nowych dzwonach stosunek dźwiękowy, odnosi się to tak do fizjognomji dzwonu z osobna, jak również do zespołu ogólnego i do zawartych w nim kombinacyj. Różnice akustyczne, zaznaczone dla ścisłości ułamkami, nie wchodzą dla gołego ucha wogóle w rachubę.

Dyspozycję dzwonową o typie melodyjno-harmonijnym ujęto nader szczęśliwie, należy ona do najpiękniejszych i najefektowniejszych w ramach zespołu o czterech jednostkach. Nazwałbym ją **Alleluja-dyspozycją wielkanocną,** ponieważ mieści w sobie czołowe motywy wielkosobotniego Alleluja — śpiewu. Pozatem umożliwia dyspozycja przeróżne inne bogate kombinacje interwalowe, melodyjne, harmonijne i melodyjno-harmonijne. Z ważniejszych wymieniam następujące:

I — III: prawie idealna kwarta. II — IV: idealny całoton. I — IV: pięknie brzmiąca kwinta. I — II — III: doskonały Te-Deum-Motyw. I — II — IV: wybitnie charakterystyczny melancholijny trójdźwięk mollowy o zamglonej wielkiej tercji górnej wskutek wyższej małej tercji ubocznej dzwonu e' (g' — 2/5 — gis' — 1/5). I — III — IV: silna melodja zaakcentowana dolną kwartą. II — III — IV: Initium, Mediatio, Finalis, VI tonu psalmowego. I — II — III: 7 i 9 „Kyrie" Mszy IX z Kyriale Rom. I — IV — III: Czołowy motyw 7, 8 i 9 „Kyrie" Mszy IV z Kyriale Rom. I — II — III — IV: Wspaniały Wielkosobotni Alleluja-Motyw. I — II — III — IV: „Per omnia saecula"-Motyw. I — II — III — IV: „Ite Missa est" de B. M. V. oraz 1 i 3 „Kyrie" Mszy IX z Kyriale Rom. IV — I — IV — III — II: Czołowy Motyw IV Credo.

A więc przecudny kalejdoskop dźwiękowy, potężny majestat brzmienia dzwonowego, niezgłębione morze tonów, bronzowa moc i piękność harmonijna, melodyjna i harmonijno-melodyjna, oparta na granitowym fundamencie tonu głównego i niskich oktaw każdego dzwonu, zwłaszcza na przemożnej sile dostojnego dzwonu cis', opromieniona czarującemi blaskami niemilknącej muzyki tonów ubocznych.

Wszystkie dzwony należą do kategorji t. zw. dzwonów mollowych, to znaczy, że tonem ich charakterystycznym, nadającym główne piętno brzmieniu dzwonowemu w kierunku durowym lub mollowym, jest wyższa mała tercja, doskonale wzbijająca się ponad resztę tonów ubocznych. Tonem charakterystycznym więc dzwonu I jest e' + 1/5, dzwonu II g' — 2/5, dzwonu III a' — 1/5, dzwonu IV h' + 1/5. Oprócz tonu charakterystycznego uwydatniają się jako przytony wybitnie dosłyszalnie gołem uchem: niższa i wyższa oktawa oraz wyższa kwinta.

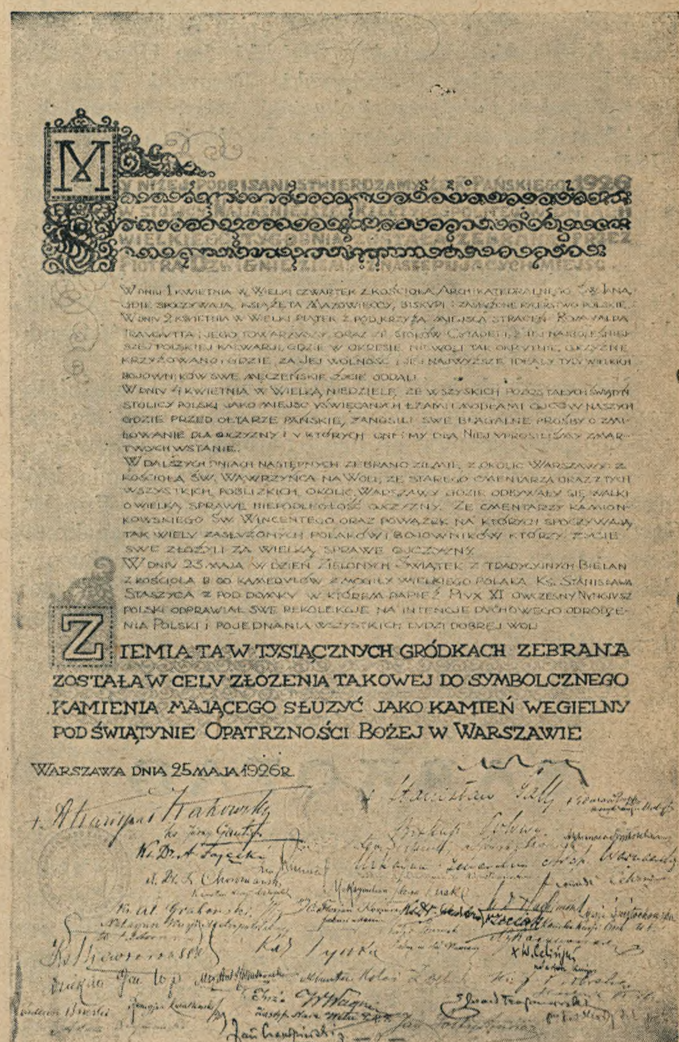
Zrównoważony, ciągły i spokojnie falujący jest rezonans dzwonów, wynoszący u dzwonu I — 120 sekund, u dzwonu II — 115 sekund, u dzwonu III — 64 sekundy, u dzwonu IV — 60 sekund.

Sprawozdanie swoje streszczam następująco: Nowe dzwony, odlane w Stoczni Gdańskiej dla Kościoła Opatrzności w Warszawie, są imponującem dziełem sztuki ludwisarskiej.

Oby spiżowe ich usta przewspaniałemi Alleluja-harmonjami Wielkanocy długim pokoleniom głosiły triumfalne hymny „Cudu nad Wisłą" i **Zmartwychwstania Zjednoczonej Polski.**

Poznań 8/III. 1930.

Ks. dr. Gieburowski,



[illegible]

W dniu 1 kwietnia w Wielki Czwartek z kościoła Archikatedralnego Św. Jana, gdzie spoczywają książęta Mazowieccy, biskupi i zasłużone rycerstwo polskie.

W dniu 2 kwietnia w Wielki Piątek z pod krzyża miejsca stracenia Romualda Traugutta i jego towarzyszy, oraz ze stoków Cytadeli, z tej narodowej świętości polskiej kalwarji, gdzie w okresie niewoli tak okrutnie Ojczyznę krzyżowano, gdzie za jej wolność i jej najwyższe ideały tylu wielkich bojowników swe męczeńskie życie oddali.

W dniu 4 kwietnia w Wielką Niedzielę ze wszystkich pozostałych świątyń stolicy Polski jako miejsc uświęcanych łzami i modłami ojców naszych gdzie przed ołtarze Pańskie zanosili swe błagalne prośby o zmiłowanie dla Ojczyzny i w których dziś my dla Niej wyprosiliśmy zmartwychwstanie.

W dalszych dniach następnych zebrano ziemię z okolic Warszawy: z kościoła Św. Wawrzyńca na Woli, ze starego cmentarza oraz z tych wszystkich pobliskich okolic Warszawy gdzie odbywały się walki o wielką sprawę niepodległość Ojczyzny. Ze cmentarzy Kamionkowskiego Św. Wincentego oraz Powązek na których spoczywają tak wiele zasłużonych Polaków i bojowników którzy życie swe złożyli za wielką sprawę Ojczyzny.

W dniu 23 maja w dzień Zielonych Świątek z tradycyjnych Bielan z kościoła B. OO. Kamedułów z mogiły wielkiego Polaka Ks. Stanisława Staszyca z pod domku w którym Papież Pius XI ówczesny Nuncjusz polski odprawiał swe rekolekcje na intencję duchowego odrodzenia Polski i pojednania wszystkich ludzi dobrej woli.

Ziemia ta w tysiącznych gródkach zebrana została w celu złożenia takowej do symbolcznego kamienia mającego służyć jako kamień wegielny pod świątynie Opatrzności Bożej w Warszawie

Warszawa dnia 25 maja 1926 r.

[illegible]

Dokument potwierdzający zebranie przez Dźwignię ziemi z pobojowisk.

CIEKAWY AKT

Ojcowie nasi, dziękując Bogu za wielkie dzieło Konstytucji 3-go Maja, postanowili zbudować, jako votum narodowe, Świątynię Opatrzności Bożej. Niestety długa niewola nie pozwoliła im na spełnienie tego ślubowania.

Dopiero 15 października 1917 roku, w setną rocznicę zgonu Tadeusza Kościuszki, grono obywateli polskich z arcybiskupem Cieplakiem i ks. rektorem w Pietkiewiczem na czele złożyło powtórne ślubowanie następującej treści:

„My, tu własnoręcznie podpisani Polacy, uroczyście przysięgamy, że jeżeli Opatrzność Najwyższa wróci nam utraconą i rozdartą Ojczyznę, to Naród Polski Bogu Najwyższemu zobowiązuje się, jako votum wdzięczności zbudować świątynię pod wezwaniem Opatrzności Bożej. Zbudujemy Polskę katolicką, odrodzoną, wielką i potężną i już więcej żadnym wrogom złamać się nie damy. A nasz sztandar braterskiego pojednania i pokoju zaniesiemy przed oblicze wszystkich ludzi świata dobrej woli. Tak nam dopomóż Bóg i niewinna męka Jego. Amen".

Ślubowanie to zostało napisane na wielkim obrazie. Inicjatorem tego aktu oraz autorem roty przysięgi był kolejarz — Polak, Piotr Dźwignia.



Zaświadcza się niniejszem, iż w miesiącu listopadzie 1927 r. Piotr Dźwignia zebrał pod kamień węgielny świątyni Opatrzności Boskiej, w Warszawie, grudki ziemi w Gdańsku, prastarym grodzie Siętopełka, przez wieki złączonym z Polską:

1. z Katedry oliwskiej, byłego kościoła klasztornego O.O. Cyst.
2. z kościoła św. Mikołaja, w którym św. Jacek rozpoczął pracę misyjną.
3. z Królewskiej Kaplicy, zbudowanej przez króla Jana Sobieskiego.
4. z kościoła św. Józefa, dokąd corocznie, przybywają pielgrzymki polskie z Kaszub.
5. z kościoła św. Stanisława we Wrzeszczu, pierwszego kościoła zbudowanego po wojnie świat. dla Polaków-Katolików.

Oby ta ziemia, przesiąknięta krwią słowiańską, przyczyniła się do duchowego odrodzenia i połączenia tutejszej Kolonji polskiej z Macierzą.

Gdańsk, dnia 18 listopada 1927.



Dokument zebrania przez Dźwignię ziemi w Gdańsku.

Akt, o którym mowa, podpisali: Papież Pius XI (Achilles Ratti), Prezydent I. Mościcki, Marszałek Piłsudski, Prezydent St. Wojciechowski, Marszałkowa Piłsudska. Prymasi Polski: Dalbor, Kard. Hlond, Kard. A. Kakowski. Marszałkowie Sejmu i Senatu: Trąmpczyński, Daszyński, Rataj, Szymański. Premjerzy: I. Paderewski, Witos, Ponikowski, gen. W. Sikorski, W. Grabski, K. Bartel, Al. hr. Skrzyński, W. Sławek, K. Świtalski. Arcybiskupi: Cieplak, Ropp, Teodorowicz, Twardowski. Sapieha, Ruszkiewicz, Lauri, Marmaggi. Biskupi: Bandurski, Gall, Laubitz, Łosiński, Łoziński, Sokołowski. Szelążek, Szlagowski, Szczęśniak, Okoniewski, Tymieniecki, Zdzitowiecki. Generałowie: J. Haller, Dowbór-Muśnicki, Iwaszkiewicz, Szeptycki, Fabrycy, Górecki, Jacyna Januszajtys, Konarzewski, Sławoj-Składkowski. Prezydent Z. Słomiński. Przedstawiciele literatury: Żeromski, Reymont, Przybyszewski, Sieroszewski, A. Święcicki, Andrzej Niemojewski, Aleksander Świętochowski, Artut Opman (Or-Ot), Marja Rodziewiczówna, Władysław Mickiewicz (syn Adama) R. Kwiatkowski, H. Mościcki, red.: Olchowicz, I. Czempińska, Szpyrkówna, Ligoń, L. Robowska, L. Kotarbińska, I. Korniłowiczowa (córka H. Sienkiewicza). Józef St. Czarnecki. Przedstawiciele świata polityczno-społecznego: prezes I. Baliński, ks. Czetwertyński, min. Sł. Czerwiński, Roman Dmowski, Michał Drzymała (właściciel „wozu"), W. Korfanty min. A. Kühn, St. Krasnowski, Al. Lednicki. Z. Wasilewski, min. Tyszka, A. i St. Zamoyscy, Br. Ostrowski, J. Sawicka, ks. Sapieha, W. Jordanówna, ks. Skorupka (bohater z pod Warszawy), hr. Bniński, mec. J. Nowodworski, J. Sołtykiewicz, sen. Bartoszewicz, E. Rauer, K. Namysłowski, Fr. Karpiński, I. Dygas, Marjan Dobiecki (b. członek Rządu Narodowego z 1863 r.), Benedyktowicz, Helena Paderewska, Bolesław Limanowski, ks. Trojanowski, ks. Dąbrowski, ks. Nowakowski, P. Markiewicz, ojciec generał Przeździecki, ks. Czajewski, infułat Bączkiewicz, prałat Jachimowski, prałat Lutosławski prałat Fajęcki, dr. Br. Szpakowski i przeszło trzy tysiące innych.

Wszystkie te podpisy w nadzwyczajnie mozolnych warunkach zebrał Piotr Dźwignia w ciągu 16 lat. Ponadto tenże Dźwignia zebrał symboliczną ziemię z około 1200 pobojowisk, gdzie Polacy walczyli o wolność. Dźwigni również udało się odnaleźć kamień, na którym klęczał Kościuszko, modląc się przed bitwą racławicką. Kamień ten został już oszlifowany, znajduje się w kościele na Bielanach i ma być kamieniem węgielnym pod budowę Świątyni Opatrzności Bożej.

Swego czasu Nuncjusz Apostolski Achilles Ratti podsunął Dźwigni myśl, że kamień ten powinien poświęcić papież. Los chciał, że właśnie Achilles Ratti został papieżem. Gdy p. minister Tyszka przed kilku laty był w Rzymie, papież zapytywał go „dlaczego ten polski kolejarz nie przyjeżdża do niego"?

Obecnie Piotr Dźwignia wybiera się do Rzymu, aby prosić Papieża Piusa XI o poświęcenie kamienia węgielnego oraz o powtórne podpisanie wspomnianego aktu pod słowami: „Błogosławię Narodowi Polskiemu". Słowa te będą umieszczone na wewnętrznym obrazku nad podobizną Kościuszki.

Wyraziła się więc tu wola całego społeczeństwa. Czas teraz na czyn, na wykonanie tego, co było ślubem i moralnem zobowiązaniem, aby historja nie wytknęła nam kiedyś zaniedbania.

Źle jest, gdy naród nie dopełnia swych wotów. Albo mu brak woli, tej dobrej woli, której Bóg błogosławi, albo umiejętności, której wymaga utrzymanie się w bycie państwowym.

A przecież my chcemy dokonać swych ślubów, powinniśmy więc znaleźć sposoby ich spełnienia.



STANISŁAW MIŁASZEWSKI

Rozmowa pierwsza.

W tym niewielkim pokoju, w którym jestem z nim teraz, są książki, książki, książki, cisza i popołudnie. Pokój dużem oknem spogląda z piątego piętra na Warszawę, a na tle tego okna i dalekiej ode mnie stolicy, rysuje się postać Stanisława Miłaszewskiego Tak, na tle bardzo dalekiej Warszawy. Gdy tu wszedłem, do tego pokoju, wydało mi się, że gdzieś daleko, bardzo daleko za sobą pozostawiłem krzyczącą, fałszywie uśmiechniętą i spoglądającą na mnie znarkotyzowanemi oczami Warszawę.

Z okien mieszkania Miłaszewskiego wielka Warszawa naraz wydaje mi się maleńką Warszawką, a na pierwszym planie, na tle krzyża, kreślonego na niebie przez drzewo ramy okiennej, rysuje się wielka postać gospodarza. Jego poczciwe, mądre oczy spoglądają ku mnie zachęcająco i swobodnie, a na pociągłej, męskiej twarzy rzymskiego patrycjusza maluje się zupełny spokój — lecz to nie zimny spokój oczekiwania, ani wyniosły spokój pewności siebie — to tylko cisza, to tylko cisza łagodna, to świadoma, ludzka pokora rozwagi i celowości: „Wiem, żeś taki sam człowiek, wiem o tem... Więc mów, bośmy wszyscy ludzie — ty i ja"... Nie mówi mi tego Miłaszewski, ale ja wiem, ja słyszę to, choć tego wcale nie powiedział. I nie uczuwam żadnego lęku przed tą rozmową.

Gdy tu do niego szedłem, miałem plan, obmyśliłem pytania, zastanawiałem się nad zagadnieniami, które poruszę. Aż tu naraz uświadomiłem sobie, że nie mam żadnego planu, że mi żaden plan niepotrzebny, poprostu nie wolno, tu do niego, z planem przychodzić! Uczułem jakby ulgę — dziwnie swobodnie poczułem się wobec tego człowieka, właśnie — człowieka. Już wiem czemu: oto człowiek ten rozumie, czem jest ludzka natura ułomna, oto on nie potępi momentów mojej słabości. Są tacy ludzie, którzy odrazu do innych przemawiają zrozumieniem. Tacy ludzie koją ludzkie serca. Miłaszewski zrozumieniem przemówił. Więc dlatego mi teraz jest tak dobrze, i lekko i, radośnie...

— Gdy się jest z panem — powiadam, spoglądając na jego rasową, męską rękę, częstującą mnie papierosem — doznaje się dziwnych wrażeń. Potrafiłbym panu o wszystkiem mówić, ze wszystkiego się wyspowiadać. Byłoby ciekawe dowiedzieć się, jakich wrażeń doznaje pan. Rozumie pan?! Ludzie dziwnych doznają wrażeń, gdy się z panem zetkną, lecz jakże bogate muszą być pańskie wrażenia!?! Chociażby — decyduję się na pytanie — jakich uczuć doznawał pan, gdy wystawiał „Don-Juana?"

W pokoju zabrzmiał głos Miłaszewskiego — miękki, łagodny, łatwy dla ucha głos mężczyzny, który panuje nad jego bogatą skalą. Słowa są płynne, równe, uporządkowane — tych słów łatwo, och, jakże bardzo łatwo się słucha!

— Właśnie wtedy największych doznałem wzruszeń. Pamiętam, stałem w korytarzyku podczas przedstawienia i zbiegałem na dół, gdy się zbliżał koniec każdego aktu. Wie pan, jest taki moment, gdy w sztuce następuje przesilenie...

W tym momencie mój rozmówca pochyla się ku mnie, bardziej skandując słowa:

— Generalna próba nie daje całkowitego pojęcia o sztuce. Rzecz teatralna żyje naprawdę dopiero przy publiczności!

I po chwili głos jego znów jakby się nieco rozprężył, stał się mniej zwarty, mniej stanowczy, — wydało się, że mi chce uwagę także odprężyć:

— Mam dziwny sentyment do foyer teatru Narodowego, bo tam się odbywały próby czytane moich sztuk. Zawsze wywierały na mnie silne wrażenie te chwile, gdy aktorzy uchwytują główne momenty ze swych ról. Te pierwsze momenty, pierwsze próby czytane... I jest jeszcze tak zwana „ostatnia przygadówka", która mi wiele emocyj dostarcza. Taki moment, gdy aktorzy w paltach, w futrach, powtarzają swe, już opanowane role. Uderza mnie w tem dziwne pomieszanie. Ukostjumowali się tonacjami, siłą wyrazu powtarzanych ról, a jednocześnie bez kostjumów, choć są ukostjumowani.

— A tuż przed samą premjerą?

— Tak, oczywiście, że i wtedy wielu doznaje się dziwnych wrażeń. No bo proszę pomyśleć tylko, że przecież oczekuje się za parę godzin sądu, pachnącego możliwością gilotyny a jednocześnie działa wielki urok możliwości zdobycia tysięcy ludzi, choćby na parę godzin.

— Proszę mi opowiedzieć — mówię — co się składa na „zrobienie" sztuki? Bo mi się zdaje, że sztukę trzeba „zrobić" przy pomocy wielu czynników.

— Ma pan rację. Odniosłem wrażenie, że reżyserem sztuki w różnych fazach, jest autor, dekorator, reżyser i aktor. Dekorator jest tem dla sztuki czem dla powieści opis pejżazu i wnętrza. Sztuka jest wtedy przygotowaną, albo, jak to pan określił, zrobioną — przemile uśmiecha się autor przecudownego „Balu w obłokach" — gdy momenty reżyserskie z tych czterech czynników zostały należycie wydobyte.

Namawiam go, by zapalił.

— Nie, — odpowiada Miłaszewski — nie palę, gdyż papieros jest bardzo napastliwym przyjacielem.

— To oryginalne! W takim razie, wyobrażam sobie, jak pan musi określać wielbicieli swojego talentu, jeśli unika pan napastliwych przyjaciół.

— Nasi przyjaciele dostarczają nam sporo oryginalnych zdarzeń.

— A właśnie! Taki człowiek jak pan, ma niewątpliwie wielką ilość przyjaciół, to też nie brak panu pewnie także oryginalnych wypadków w życiu. Ale pragnąłbym dowiedzieć się o jakiemś naprawdę oryginalnem przeżyciu pańskiem.

Spogląda na mnie swem otwartem, szczerem spojrzeniem człowieka, który potrafi mówić prawdę lub milczeć — tak, to zupełnie co innego z Miłaszewskim rozmawiać. Ten wysoki, skromnie, lecz gustownie ubrany pan, o szlachetnej postaci i męskiej, mądrej i foremnej głowie, potrafi rozmawiać, ale nie potrafi „udzielać" wywiadu. I dlatego teraz głos jego nagle traci znów na prężności, przycicha, zagłębia się — i to zagłębianie się właśnie wskazuje, że z głębin duszy słowa pochodzą:

— Żeby panu odpowiedzieć szczerze, musiałbym z panem rozmawiać bardzo intymnie. Byłoby to żenujące dla nas obu.

Patrzę na niego. Wydaje mi się, że to chwila jeszcze... że się coś we mnie łamie i kruszy, że to przesilenie wielkie w sercu mojem i oczach proszących zachodzi. I chcę mu naraz wiele, wiele powiedzieć. O czemś dobrem, bliskiem i ludzkiem. Chcę mu wiele powiedzieć — więc mu nic nie mówię, a on mnie odrazu rozumie. W tej krótkiej, bardzo krótkiej chwili wydało mi się, że czyjaś niewidzialna dłoń przesunęła wskazówkę na zegarze naszej znajomości o wiele dni naprzód — że te dni przeminęły w mojem sercu rozjaśnioną pogodą jego spojrzeń i ciepłem jego słów.

(Właśnie o tej porze nad daleką Warszawą dojrzałem mgłę — przypomniałem sobie niewiadomo czemu dobre dłonie mojej matki — właśnie o tej porze wydało mi się, że jestem silniejszy).

Pomyślałem sobie, że mi teraz powie o czemś bardzo ważnem. Bez słów zaczął mi mówić.

I już zupełnie pocichu dokończył; — Są rzeczy zdumiewające. To było realne zetknięcie się z metafizyczną rzeczywistością. Coś, co jest i pozarealne i pozarzeczywiste, było faktem. Miałem kilka takich momentów w swem życiu. Ze trzy razy zetknąłem się w życiu... z innem życiem. I te wypadki miały decydujący wpływ na dalsze koleje mojego życia.

A ja myślą teraz nacieram na niego: opowiedz! opowiedz! opowiedz! — Wtedy on spogląda na mnie swem cichem, wyrozumiałem spojrzeniem i mówi:

— Takie rzeczy powiedziane, trąciłyby albo brutalną sensacją, albo wywołałyby...

Urwał. Dostrzegł, jakie to na mnie wrażenie wywarło. Zażenowany, odwracam głowę. Wstaje, by przejść po pokoju — jest mi teraz nieswojo. A gdy mu w oczy wreszcie spoglądam, jest nam obu nieswojo. Mnie, za mój nietakt, jemu za to, że ja nietaktownym byłem — tu znów jest on cały ze mną, ten Miłaszewski, dla którego ludzkie przeżycia i ludzkie słabości są najbliższemi, najzrozumialszemi i kto wie, czy nie najdroższemi. O tem myślę, a on znów o tem wie: — Ludzie podobni są do siebie w łokciach, a różnią się o cale — powiada. — Od kretyna do genjusza jesteśmy w dziewięćdziesięciu procentach jednakowi, ale w dziesięciu jest dopiero indywidualność.

Wyjaśnił. Tak, to rozumiem i dziękuję, panie Stanisławie, choć ci nic o tem wtedy nie powiedziałem. Usprawiedliwiłeś mnie tak łatwo. Ale gdybym ci wówczas podziękował, musiałbym znów o wszystkiem mówić, musiałbym... Więc mnie wtedy znów wyręczyłeś; pamiętasz? - - Patrzę w siebie i wydaje mi się, że siedzę w camera obscura. Wiem, co ludzie myślą, czego chcą — powiedziałeś wtedy, po swojemu uśmiechając się a ja zapomniałem naraz o tem, że przed chwilą chciałem gwałtem wedrzeć się tam, gdzie ty sam nie zaglądasz inaczej, jak z modlitwą zachwycenia w sercu.

...Miłaszewski potakująco uśmiecha się do moich słów.

— Przecież to wielka rzecz... to, że ludzie mają tyle wspólnego ze sobą. Gdybyż to wszyscy dostrzec umieli — powiedziałem, wzdychając.

— Tak, — natychmiast mi odparł — to wielki przywilej ludzkości. Tu właśnie jest podstawa braterstwa. Mnie to nauczyło życia. Zrozumienia. Dla jego codziennych nawet potrzeb, obiegowych faktów i zjawisk...

— Skoro tak pan myśli, więc chcę panu coś opowiedzieć. Chcę panu opowiedzieć o wypadku, jaki miał miejsce podczas mojego pobytu w Synopie, na wybrzeżu Małej Azji. Nigdy o tem nie opowiadałem, ale tem bardziej chcę o tem panu, tak, właśnie panu chcę opowiedzieć o tem. Opowiem panu o czemś, co mnie bezustanku dręczy...

Później, znacznie później zastanawiałem się nad porywem swej szczerości.

Analizując pobudki, które mną wówczas kierowały, przyszedłem do jednego wniosku: są tacy ludzie, którzy emanują ze siebie coś, czego nazwać nie umiem, a co każe innym uczuwać gwałtowną potrzebę wypowiedzenia się wobec nich — są tacy ludzie, lecz ludzie takimi nie są. Ale zdarzają się... Więc to właśnie radością i ulgą jest wypowiedzenie się wobec Miłaszewskiego. I to właśnie, że go spotkałem, że ten moment wielkiej szczerości był, napawa mnie przeświadczeniem, że są tacy ludzie, ale ludzie takimi nie są. Cóż, wyjątki potwierdzają regułę; tak myślę.

— U mnie to inaczej występowało — powiada, otrząsający się z zasłuchania Miłaszewski, gdy znów usiadłem, ukończywszy swe opowiadanie — to było, wie pan, takie nieuchwytne, niezdarzone, nierzeczywiste... Ot poprostu chwila: coś ma się stać... i, ach, umarł pan Iks...

Głos jego przechodzi niemal w szept: — ...i znów jakiś moment, cisza, nic i wszystko w tej chwili... ach, wyszła zamąż kobieta, którą szalenie kochało się...

— Ale ten moment, ta chwila... do czego ją mógłby pan porównać?

— Jakby mi pękło i zrosło się serce spowrotem.

Mówi to takim głosem, że nie wytrzymuję: chwytam jego rękę i mocno ją ściskam. Patrzę w jego oczy. Za oknami jest szara mgła. Zmrok szare nici po ścianach przędzie. I w tym momencie twarz jego staje się jeszcze bardziej niezwykła: jej wyraz, choć jest wciąż taki sam pogodny i ciszy pełen, jest czegoś zapowiedzią. Trwam w zamyśleniu i zamilczeniu, oczekując czegoś. Wiem, że powie. I wiem, że to będzie prawdą, jakąś wielką prawdą jego życia, jakąś prawdą, którą na ulicach rozdałby przechodniom, gdyby tamci wierzyć w prawdę potrafili.

— ...Przygotowywałem się do pewnego aktu religijnego. To było w momencie pozytywistycznym. Doszedłem do wniosku, że w życiu niepotrzebnem jest — skanduje „niepotrzebnem jest" — bym przebywał poza Kościołem. Gdy postanowiłem, rozumie pan?, gdy postanowiłem, gdy ta chwila przyszła i postanowienie zamieszkało w mojem sercu, — w tym momencie o mało nie umarłem.

I dodaje: — to trwało o mało nie trzy czwarte minuty.

Zamilkł. Prostemi, zwykłemi słowy opowiedział wielki, największy moment ze swojego życia. Milczę. Przymykam oczy, aby jeszcze przez chwilę zatrzymać w nich obraz Miłaszewskiego, mówiącego o wielkiej chwili swojego życia.

Znacznie później zaczynamy mówić.

— Tak — powiadam do nikogo i bez potrzeby — wielkie momenty naszego życia trwają nieskończenie krótko. Wie pan, człowiek sobie żyje i nic nie spostrzega, aż tu naraz jednego dnia, w jednej chwili najkrótszej, jeden zwrot nieznaczący, jakieś słowo czy jakieś spojrzenie... i ten człowiek powiada sobie: „jestem stary". Nastąpiło przesilenie.

— Przesilenie... trafnie pan to nazwał przesileniem. Coś podobnego zdarzyło mi się w dzieciństwie. Dziewięć czy dziesięć lat sobie liczyłem wówczas. Wyszedłem na ulicę i zobaczyłem pogrzeb. Myśl o śmierci!... Myśl o śmierci i uczucie poprawy. Poprawiłem się... — i dodaje z cichym, dobrym śmiechem: — na jakie sześć lat...

Jego śmiech przypomina mi o tem, że największe przesilenia krótko trwają, więc i ja się uśmiecham, ale wciąż jeszcze nie mogę spowrotem równowagi odzyskać. Nerwowo palę papieros po papierosie a Miłaszewski, jakby znów wiedząc, czemu tak jest i pamiętając o tem, że w dziewięćdziesięciu procentach jednacy jesteśmy, powiada: — Wie pan, tak jak szklanka wody, wzięta z morza daje pojęcie o gatunku wody morskiej, tak samo w nas cząstka ludzkości daje pojęcie o całej ludzkości i jej istocie.

Chce mi więc o tem powiedzieć, że to moje przejęcie się tak samo jak moje wady i słabości, przeświadczają go tylko o tem, że całej ludzkości jest to właściwe. Chce mi pewnie o tem powiedzieć, że patrząc na mnie, spogląda w tej chwili na ludzkość całą, że jestem dlań ową szklanką wody morskiej, dającej mu pojęcie o gatunku wody.

— Mam wiarę głęboką w to, że te identyczne procesy zachodzą we wszystkich ludziach, tylko niejednakowo ujmowane. Te niezwykłe zdarzenia są zdarzeniami, zachodzącemi w życiu każdego człowieka. Ale jedni tłumaczą to sobie spirytyzmem, drudzy zaś obfitą kolacją i kryzysem żołądka.

— W człowieku — powiadam — powinna żyć wrodzona potrzeba tych momentów.

— Ona też żyje, napewno żyje. Jest w tem nawet pewna fizyczna analogja. Są naprzykład momenty, w których atleta ma jakby ataki słabości. I nagle przychodzą momenty, kiedy oddycha głęboko, mięśnie napina. Przychodzi, proszę pana, ta potrzeba higjeny duchowej tak samo, jak potrzeba prysznicu. Sprawdzam to na przykładzie literatury. Weźmy Baudelaire'a. Jest to poeta, który znakomicie pokazał stan niełaski duchowej. Mimo przestarzałości, wciąż wracamy do niego, bo on potrafił zbadać ten stan niełaski duchowej, w który człowiek popaść może. I powiadam sobie, że są w życiu człowieka dwie religje...

— Tak?! Więc proszę, niechże mi pan wszystko powie o tych dwu religjach w życiu człowieka!...

Ten mój okrzyk znów wywołuje dobrotliwy i wyrozumiały uśmiech na twarz świetnego pisarza.

— Dobrze. Ale najpierw musimy temu odpowiednią formę znaleźć.

Gdy ostatnie wypowiada słowa, wydaje mi się, że jest małym, straszliwie małym. Sam nie wiem czemu, tak mi się wydaje. Zrywam słowa jedno po drugiem i do mózgu wgniatam — wdycham, poprostu wdycham w siebie teraz każde jego słowo. Przysunął się do mnie, mówi jeszcze bardziej spokojnie.

— Jeżeli od dziesięciu tysięcy odejmiemy 9999, będziemy mieli jednostkę. Jeżeli od dwu odejmiemy jeden, też będzie jednostka. Otóż wynik jest ten sam prawda? Ale my nie możemy patrzeć na wyniki, lecz na dynamikę działania. Jest we mnie coś, czyli w ludzkości — dodaje z uśmiechem — co pcha w nieskończoność. Instynkt. Oczywiście... Mój instynkt, powiedzmy erotyczny, ma taką siłę, jak włosy czy paznokcie. Mam paznokcie, które oczywiście pozwalają mi drapać. Gdy one odrosną, stanę się potworem. Więc je muszę obcinać, iść drogą poświęcenia, prawda? Więc właśnie!, ta religja erotyczna, pociągająca w nieskończoność, powoduje przerosty.

— A więc to jedna religja — wołam i znów chwytam jego rękę, zaglądam w jego mądre, spokojne, bezgranicznie ludzkie oczy — ale przecież i druga, druga...

— Druga również powoduje przerosty — i cichym, znów bardzo cichym głosem dodaje: — Ta druga religja również powoduje przerosty, ale zupełnie innego rodzaju...

Ośmielam się: — Pan tak dziwnie powiedział o przerostach drugiego typu...

Spogląda na mnie badawczo. Wiem, już wiem, że jego rozumna i wiary pełna logika, obrazowo, na przykładzie, przystępnie mi to wytłumaczy.

— Jest z jednej strony stały spokój, z drugiej poszukiwany stały wstrząs. Pod spokojem jest opanowany zawsze równie silny wstrząs.

— Więc spokój jest dalszym etapem wstrząsu?

— Tak. To samo mamy z bakterją. Mamy jedną chorobę, którą opanowaliśmy, ale wynikiem tej choroby jest jakaś inna, która nie ma uchwytnego dla nas związku z poprzednią. I tu właśnie wyrasta do wielkich rozmiarów rola sztuki, która, mojem zdaniem, służy jedynie poto, by człowiek mógł wyrażać te stany, które w nim są. Poto, aby można było wykazać, w jaki sposób ta czynność powstała: czy przez odjęcie od pięciu czterech, czy też od dwu, jedności. To nas właśnie prowadzi, (ten wspólny rezultat), do tego braterstwa, o którem panu mówiłem. W sztuce nie mówi się bezpośrednio do wieczności. Można być samotnym w modlitwie, ale nie można być samotnym w sztuce. Wspaniałe przykłady tego znajdują się w Biblji. Jestem zdania, że historja jednego narodu, jest historją wszystkich narodów. Biblję uważam za historję — (mówi teraz znacznie szybciej, mówi o rzeczach głęboko przemyślonych i przetrawionych) — Biblja jest odpowiednikiem wszystkich stanów, w jakich mogą się znaleźć narody. Naprzykład śmierć Saula jest nawskroś rzymską. Biblja, właśnie Biblja, jest obrazem przeżyć narodu we wszystkich jego fazach. To księga, która wychowała w kulturze naszej najzupełniej praktyczną cywilizację!... Ameryka! Tak, Ameryka, która wychowała się na Biblji...,

— Ale... czy pan w tem widzi konsekwencję?

— Konsekwencję pewnego zboczenia. Bo ludzkość, jako wieczna, nie może dać w doczesności pełnego wyrazu. Mówię ciągle z panem jako artysta. Prowadzę studja, by one nastrajały i kształtowały moją zdolność poetycką. Nauka uczy mnie, bym umiał mówić językiem sztuki. Rozumie pan? Aby innym udzielać nastroju, trzeba samemu studja przeprowadzać!

Wspominam o swych rozmowach z profesorem Tadeuszem Zielińskim. Zapytuję Miłaszewskiego o znakomitego filologa.

— Jestem z nim w stałym sporze. Jestem dziś bardzo wierzącym człowiekiem. Jego zaś stanowisko, zdążające w kierunku wyrugowania pierwiastka biblijnego, jest naruszeniem fundamentów kościelnych. Zarzut braku miłości w stosunku Boga do ludzi, stawiany przez profesora Zielińskiego, uważam za jego własny pogląd. Nie jest to zgodne z rzeczywistością. Uważam, iż sprawiedliwość jest tragiczną, ale nie okrutną. Kary muszą być mocne, ale nie okrutne. Nigdy, proszę pana, front religijny czy państwowy nie idzie prosto. Na mapie granica jest prosta, ale w rzeczywistości ma bardzo wiele załomów. Ludzie jednego obozu są w drugim i naodwrót...

(Coraz trudniej mi jest podążać za szybkiem, za coraz bardziej szybszem tempem jego myśli) — wtrącam uwagę:

—...powiedział pan osobno o froncie religijnym a osobno o państwowym...

— Bo je różniczkuję. Mam wrażenie, że pojęcie religji jest tak szerokie, iż w sobie inne zawiera.

I znowu przykład, znowu zobrazowanie, uprzystępnienie. Wydaje mi się chwilami, że ciągle o tem pamięta ten człowiek, przeczuwający w sobie wszystko, co ludziom właściwem jest:

— Na dnie oceanu podobno takie panują stosunki, że większa ryba mniejszą połyka.

Dosadne określenie! Zdobywam się na niepewne powiedzenie: — Więc obecnie takie na świecie panują stosunki, że są zaprzeczeniem praw, panujących na dnie oceanu?!

— Inicjatywa pewnej dzikości jest tak samo u dużej jak i u małej ryby — pada nieoczekiwana przezemnie odpowiedź.

Skupiam się. Mam coś ważnego.

— Teraz ja walczę z panem o siebie — powiadam — o gmach moich własnych myśli... („Wiem o tem" — mówi mi jego wzrok). — Ja nie chcę, nie chcę, aby duża ryba miała cechy dzikości. Duża ryba jest Kościołem.



Zima w pełni...

Wstaje. Stoi nade mną. Mówi: — Wydaje mi się, że gdy mniejsze pojęcie chce szerszem się posługiwać...

...a ja sobie myślę: Ten człowiek wierzy. Wiara jest potrzebną, by posiąść jego ciszę, i jego spokój i jego pogodę. Wiara jest potrzebną.

Miłaszewski mówi. Cóż to za wspaniały kaznodzieja! Słowa dochodzą do mnie skądś z bardzo wysoka:

— Gdyby człowiek w połowie kochał bliźniego swego jak siebie samego, byłaby Arkadja...

Cicho kończy: — przeczuwam ludzi, którzy potrafią kochać bliźniego więcej niż siebie samego. A więc i Boga...

— I ja przeczuwam.

I patrzę oto na niego i wiem, że tacy ludzie są.

Naraz z siłą, z wielką siłą dorzuca: — Poprostu gdyby ludzie byli wszyscy źli, glob ziemski nie wytrzymałby!

Zapanowuje cisza.

Nad miastem jest wieczór.

Nad moją głową unosi się świadomość, że oto z nim tu jestem, że tu jasno, pogodnie, że ma wszystko, o czem mówimy, swój brzeg...

Po chwili dopiero mówię z nim o swych spostrzeżeniach. Dziwię się, że w pociągu ludzie zawiązują ze sobą najintymniejsze nawet rozmowy, choć ich przecież nic poza kolejowemi biletami nie łączy.

— „Gdziekolwiek się zbierzecie w imię moje, jestem z wami" — powiada Miłaszewski. — Otóż właśnie... Nagle tworzymy nową osiadłość. Ludzkość klei wszędzie jak krew, która gdy ciec zaczyna, odrazu też wydaje kleistą substancję. To są właśnie wielkie dowody braterstwa ludzkości. Przygodnie spotkane towarzystwo w pociągu, jest rodziną, która choć formy nie otrzymała, choć założoną nie została, ma swe ciepło. Człowiek ma instynkt rodzinny i wszędzie ma rodzinę, o ile przybierze do tego odpowiednią postawę duchową.

...Naszą rozmowę przerywają okresy milczenia. Nie dziwię się temu wcale — słowa jego są zbyt silne i niecodzienne, bym potrafił je tylko wysłuchać.

Po jakiejś chwili znów rozmawiamy. O Zielińskim, o Chestertonie.

— Zieliński swe błędy utrwala w rzeczach mocnych. Powiedzmy, że jest żywy cel, do którego się tak strzela, by nie trafić. Są dobrzy strzelcy, którzy nie trafiają, mając odchylenie o łokieć. Zieliński zaś chybia o cal. To świetny strzelec!

Gdy sobie myślę w pewnej chwili o Chestertonie, nim o nim mówić zacząłem, powiada Miłaszewski:

— Widzę w Chestertonie coś apostolskiego. Ma on plastykę i dążność do ukochania bliźniego. On naprawdę nigdy nie chce przeciwnika ugryźć, nigdy go nie chce zranić...

Mówimy jeszcze jakiś czas. Wreszcie przychodzi chwila pożegnania. Stoimy naprzeciw siebie. Jego wysoka, szlachetna postać rysuje się zupełnie wyraźnie w mrocznym pokoju.

Nie patrzę na niego, lecz czuję jego wzrok na sobie.

Chcę mu powiedzieć, że pragnąłbym tu tak oto zostać, że mu wdzięczny jestem za ciszę, za słowo wielkie, za to, że tak po ludzku i tak mądrze mówić ze mną zechciał. Więc nie mówię nic. I tylko czuję, jak ręka, chciał. Więc nie mówię nic. I tylko czuję, jak rękę moją coraz silniejszym uściskiem jego ręka obejmuje... Czuję się z tem bezpiecznie i spokojnie tutaj.

Ze strachem myślę o rozhisteryzowanem, obłąkanem, wielkiem mieście, do którego wrócić muszę.

(Dokończenie nastąpi).

Stanisław Brochwicz.



Stefan Krzywoszewski.
fot. Malarski.

SEKRET ŻYCIA TEATRU

Teatr w życiu współczesnego człowieka kulturalnego jest ważną pozycją. Stanowi on jeden z zasadniczych wymiarów tego życia. O teatr ocieramy się wszyscy jako widzowie, chciwi wrażeń i przeżyć dramatycznych, czasem jako aktorzy-amatorzy, czasem, o wiele już rzadziej snujemy marzenia o sukcesach in spe swych nienapisanych sztuk, w których wypowiemy wszystko, co jest w nas wielkiego, pięknego, niezwykłego, wszystkie marzenia i ideały. Za Wyspiańskim gotowiśmy wołać, że śni nam się teatr ogromny, z którego chcemy przemawiać do całego narodu, pouczać, gromić, wskazywać, wieść na wyżyny Konradowe ducha, umacniać w wierze ojców, przemawiać tą mową naszą ukochaną, co jak grom błyska i jak kołysanka matczyna śpiewa...

Przeciętnie jednak dzieje się tak, że kupuje człowiek w kasie bilet o ile można najtańszy (oj bieda, bieda!) siada cicho na krześle w jakimś tam rzędzie i czeka podniesienia kurtyny, by przeżyć parę godzin estetycznej ekstazy, czy beztroskiej zabawy...

Wszystka reszta, całe wewnętrzne życie teatru jest legendą, której rąbek czasami odsłaniają chciwe sensacji gazety i to zwykle z najmniej ciekawej i najmniej istotnej strony.

A przecież to życie jest, i to bardzo, bujne i wszechstronne, ma ono bogatą różnorodność, wiąże w sobie liczne elementy twórcze, zgrane pod wspólnem kierownictwem, różnych ludzi od mitycznego dyrektora teatru przez reżysera, dekoratora do aktorów, (ci dla przeciętnej publiczności stanowią jedyny uchwytny wykładnik teatru) a dalej, całego zastępu sił pomocniczych.

Wejdźmy w to życie, zapoznajmy się z jego treścią, tempem i drogami.

U p. prezesa Stefana Krzywoszewskiego.

— Więc to panie prezesie już dwa i pół lat mija — zaczynam.

— ...gdy objąłem teatry miejskie, tak jest. Ani się obejrzałem, ale bo też było pracy. Wykonało ją się dzięki zastępowi oddanych współpracowników.

— Co pan myśli o zespole?

— Bez przesady mamy najlepszy zespół w Polsce, bynajmniej nie gorszy od czasów przedwojennych Rozmaitości i Letniego. Udało nam się zgrupować uznane talenty. Dajemy też pole młodym siłom, jak Andrzejewska, Jezierska, Niedziałkówna. Oczywiście talentów stwarzać nie możemy, ale możemy im ułatwić rozwój.

— Jak pracują aktorzy?

— Określę to jednem słowem: zapał. Wszyscy dają niewątpliwie maximum wysiłków. Udało się nam wzniecić aspiracje do wyższych zadań czego oddawna już wśród braci aktorskiej nie było. — Samorzutnie powstała Rada Artystyczna, która co tydzień zbiera się po przedstawieniu.

— Na herbatkę!

— Ale skąd? — Prezes patrzy na mnie, jakbym popełnił gruby nietakt — na dysputy dokoła zagadnień estetycznych. W teatrach naszych zapanował wyborny klimat duchowy, sprzyjający twórczej pracy.

— Jak się w nim pan czuje? — rzucam znienacka pytanie.

— Doskonale! Doskonale! — uśmiecha się — tak, jak może się czuć człowiek, spragniony słońca w letnie po-



Eugenjusz Świerczewski.

łudnie. Jestem zadowolony, że zapanowała ta atmosfera artystycznej harmonji, o której jako niezbędnym postulacie tyle się mówiło, że wspomnę choćby p. dyr. Zawistowskiego. Ta atmosfera działa. Aktorzy darzą pełnem zaufaniem swych kierowników, tak zresztą wybornych reżyserów jak senjor Solski, dalej Borowski, Chaberski, Węgierko, Ziembicki. Prowadzą oni zespół przez gąszcze prób do idealnej realizacji artystycznej. — Powiedziane jest to z taką sugestją, że przed memi oczyma majaczy nieomal wizja jakby dżungli splątanych zagadnień teatralnych przez którą przedziera się zastęp pod wodzą nieustraszonych przodowników. Proszę darować tę licencję.

— A repertuar? Jak się kształtuje?

— I tu chwyciliśmy ster w rękę. W teatrze Narodowym realizujemy repertuar klasyczny w tem obszerniejszem tego słowa znaczeniu: daliśmy więc Zemstę, Don Juana, Świętoszka, Nic nigdy niewiadomo.

— Ciekawe — wtrącam — jak to w naszych oczach B. Shaw urasta z rewolucjonisty na klasyka.

— Boć też wspomniana sztuka ma już swój wiek.

— A zamierzenia?

— Pójdzie Marja Stuart we spółce Schiller-Miłaszewski, to znaczy Schiller uwspółcześniony przez Miłaszewskiego. Myślimy też o młodym Fredrze. W teatrze Nowym dajemy sztuki kameralne: Musset, Grzymała, w przygotowaniu coś Maszyńskiego. I Letni nabiera także charakteru sceny poświęconej lekkiej komedji, a nawet w projekcie komedji muzycznej. W ten sposób...

— W ten sposób publiczność wie czego szukać w każdym z tych teatrów.

— O to nam właśnie chodzi.

— A strona administracyjna?

— Tu jest właśnie szereg szkopułów. Ten renesans teatrów nie opiera się na dość mocnej podstawie. Przy jednorocznym kontrakcie jest o to trudno. Stwarza to stan tymczasowości. „Tymczasem" teatrowi potrzeba pewnej stabilizacji — głos brzmi hamowaną goryczą.

— Drażliwe pytanie — finanse?

— Objąłem, jak pan wie teatr w warunkach bardzo trudnych. Kryzys też swoje robi. Dość powiedzieć, że gdy ogólna frekwencja rośnie, dochody z roku na rok spadają w granicach od 15—25 procent. Pracując z zespołem na podstawie kontraktów sztywnych, przy tendencji fiskusa do podwyższania podatków i świadczeń — mam do rozwiązania nie mało finansowych zagadek. Pomaga mi w tem poczęści subwencja miasta w postaci zakupu 50 przedstawień na sumę jakichś 180.000 zł. Za tę sumę spełniamy jednocześnie misję kulturalną. Przedstawienia te biorą szkoły i różne instytucje kulturalne.

— Co myślą cudzoziemcy o naszych teatrach?

— Chwalą i to nietylko na rautach, gdzie w oczy zwykło się rzucać komplementami. Potrafią powtórzyć swe pochwały za oczy na łamach prasy, jak np. ostatnio dyrektorzy francuscy na łamach paryskiej „Comoedia". Było ostatnio tych cudzoziemców sporo: Niemcy i Włosi, amerykańscy dziennikarze i francuscy dyrektorzy teatrów, wracający z Moskwy, z tej jakoby Mekki teatralnej. Słyszy się od tych wszystkich ludzi nieodmiennie, że Polska ma jedne z najlepszych teatrów w Europie.

— To jest prawdziwa satysfakcja.

— Niewątpliwie, że musi to dawać zadowolenie. Toć dla teatrów porzuciłem wszystko. Zaniedbałem własną twórczość, rozstałem się z redakcją „Świata". Cały zapał wkładam w to, by ustabilizować byt teatrów, by utrzymać ich poziom artystyczny. I praca idzie dzięki niewątpliwie pomocy takich współpracowników jak dyr. Strzelecki, dyr. Gorczyński i sekretarz Świerczewski.



Bolesław Gorczyński.

W gabinecie kierownika literackiego p. Bolesława Gorczyńskiego.

Mały gabinet o wypłowiałych tapetach. Wypełnia go cisza, światło elektryczne i rękopisy, gazety, papiery. Fantasia dramatica zaklęta w litery i kartki.

Na ścianie Węgrzyn i Solski — fotografje. Pierwszy amant polskiej sceny spogląda stalowym wzrokiem kondotjera rewolucji na świetnego reżysera, który nic sobie z tego nie robi i czyta gazetę: — na fotografji...

Obok pyszni się swym wiekiem wyblakły stary afisz teatralny, pięknie graficznie wykonany, na którym czytam:

N-er 59. Za pozwoleniem Zwierzchności. Dziś t. j. we wtorek 21 kwietnia 1835 roku.

Na korzyść Nieszczęśliwych zupą Rumfordzką żywionych pod opieką Towarzystwa Strzeleckiego w tutejszym teatrze dana będzie Tragedya

w 5 Aktach oryginalnie wierszem napisana przez Alojzego Felińskiego, pod tytułem

BARBARA RADZIWIŁÓWNA

Dalej następuje spis osób i aktorów oraz zapewnienie, że „cena miejsc zwyczajna", zapewne, żeby zachęcić publiczność do przybycia tłumnie i zasilenia owych „nieszczęśliwych zupą Rumfordzką żywionych"...

— Tak było przed stu laty — powiadam do p. Gorczyńskiego, który w tej chwili wchodzi do pokoju.

— Właśnie. Niech pan zwróci przytem uwagę na ciekawą ortografję tego afisza. Podchodzimy razem do drukowanego świstka, w którym zataił się przed niszczącą dłonią czasu fragment życia dawnego teatru i wyłapujemy chciwie różne dziwności językowe i pisarskie.

— Zmieniają się czasy i ortografje — rzucam melancholijnie. Dziś już nie pisze się „Zwierzchność" dużą literą i „Nieszczęśliwi" także dużą literą". Tegoby cenzura nie darowała.

— Nie ma też zupy Rumfordzkiej, powiada, uśmiechając się, pan Gorczyński.

— Ale jest teatr! — odrzucam i właśnie dlatego ja tu jestem z ołówkiem reportera w kieszeni.

— Teatr jest — mówi mocno, z przekonaniem mój rozmówca. Teatr być musi.

— Niech pan mi zdradzi sekret jego życia — rzucam podstępnie — sekret swego gabinetu, który jest jedną z zasadniczych komórek jego organizmu.

— Sekret!

— Tak.

— Wszystko jest bardzo proste. Tu niema żadnych sekretów.

— Być może. Ale moi czytelnicy w to nie uwierzą.

— Poprostu czytam nadesłane komedje, dramaty i t. zw. sztuki. O widzi pan, ta szafka — otwiera sporą szafę — pełno tu rękopisów. Te są „cudzoziemskie” — francuskie, niemieckie, dostarczone przez ajencje; te polskie.

— Ile tego jest?

— Sporo. Sporo.

— Więc pan czyta to wszystko?

— Tak. Czyta się prawie wszystko i prawie w całości. Dziś już nie spotyka się sztuk, których nie byłoby warto czytać. Jest pewien ogólny, znośny poziom. Ludzie umieją już pisać. Mimo to jednak ledwie jakieś 10 procent sztuk pobudza do rozmowy z autorami.

— Genjalne sztuki?!

— No nie. Ale z jakichkolwiek względów warto o nich mówić. Czasami, by dać dobrą radę autorowi, czasami, by wprowadzić na repertuar.

— To zapewne rzadziej.

— Nie jest tak beznadziejnie. Teatr zawsze czeka na dobrą sztukę.

— Kiedy wreszcie zapadnie decyzja, jaki jest bieg rzeczy?

— Trzeba sztukę przygotować do naszych potrzeb, dać jej retusz, którego wymagają nawet arcydzieła. Tak, tak. Weźmy np. „Towariszcza” Devala. Wypadło złagodzić niezadowolenie z jakiem autor traktuje emigrację rosyjską.

— Nie jest odosobniony. Ostatnio czytałem z powodu afery Stawiskiego sporą porcję inwektyw pod adresem Rosjan, jako uciążliwych cudzoziemców.

— To prawda. U nas jednak nie jest to aktualne, a mogłoby być i niepożądane.

— No taak — odpowiadam przeciągle.

Telefon przerywa nam rozmowę. Po chwili wpada do pokoju p. Kończyński. Jest pod wrażeniem powodzenia swej sztuki, granej w teatrze Wielkim. Rozmowa toczy się na temat sugestji jaką teatr wywiera na masy. Mówi się o kontakcie sztuki z publicznością, o tej niedość wyjaśnionej dotąd seismografji zainteresowania, jakie może budzić dzieło sceniczne. Potem jest mowa o aktorach o trudnościach, które musiał pokonać p. Konczyński przy obsadzie sztuki. Spieszy się, żegna nas. Wychodzi.

Zostawił nam jednak nowy temat rozmowy: teatr dla mas. Dyr. Gorczyński ożywia się, wspomina okres swego kierownictwa teatrem popularnym na Pradze. Widać, że rozgrzał się wewnętrznie że zadrgała w nim najgłębsza struna.

— Oto wielka dziedzina, którą teatr u nas musi jeszcze zdobyć — mówi.

— Najzupełniej się zgadzam, — odpowiadam. Czem może być teatr, zrozumiałem, prowadząc sam przez dwa lata teatr robotniczy.

— Organizację tego teatru trzeba jednak stworzyć na zupełnie innych podstawach. Trzeba go zbudować od początku, od postawienia gmachu, w którym możnaby już za złotówkę dać przyzwoite miejsce wraz z programem. A potem repertuar. Teatr dla szerokich mas to przedewszystkiem bajka. Prostacy chcą złudy, która wyprowadziłaby ich poza ciasne i obrzydłe koło ich szarego życia. To też nie można iść do nich „Z moralnością pani Dulskiej”, ani z „Krakowiakami”, ujętymi kabaretowo.

— To niech zostanie dla zblazowanych górnych 10 000 — wtrącam żartobliwie.

— Powiedzmy! Wie pan czego zaś trzeba masom? Miałem, pracując na Pradze, swój wywiad wśród prostych ludzi. Gdy pytałem się, odpowiadano: „Coś takiego jak „Balladyna” i „Kopciuszek”.

— Na jednym poziomie?

— Tak. Ale w tem jest właśnie dusza tych prostaków. Dla tych dolnych 100 000 trzeba zatem stworzyć teatr.

— Świetnie. Tym krzykiem o teatr dla oddolnych stutysięcy zakończę mój reportaż — mówię już na progu, żegnając się z posiadaczem jednego z „sekretów teatru”.

W gabinecie sekretarza Eugenjusza Świerczewskiego.

Witamy się serdecznie.

— Co u kolegi słychać? — pyta kochany pan Eugenjusz.

— To ja tu przyszedłem zapytać, co słychać? — odrzucam.

W tej chwili słychać telefon, Świerczewski chwyta za słuchawkę, umieszcza ją sobie tylko właściwym sposobem między uchem i ramieniem i monosylabami załatwia ów „głos z telefonu”, przeglądając jednocześnie gazety, które przed nim „rzucono na stos”.

Milczę i obserwuję go. Nic się nie zmienił ten „człowiek teatru”, a znam go przecież dobre dziesięć lat, jeszcze z czasów, gdy tu poraz pierwszy zasiadał jako sekretarz w okresie Miłaszewskiego i Osterwy.

W pamięci przesuwa mi się film życia p. Eugenjusza. Życia oddanego zawsze teatrowi, czy to będzie Charków w latach 1915—18, czy działalność w teatrze propagandowym w r. 1919—21 czy sekretarzowanie w Reducie (1922—23). Czy następnie dwa lata w pracy przy Miłaszewskim i Osterwie, czy dalej liczne publikacje od książki poświęconej Jewreinowowi (z cyklu rosyjskich reformatorów sceny) przez zbiorowe książki o Solskim (1925) o Frenklu (1928) a wreszcie jubileuszowe dziełko o Bogusławskim (r. 1929).

Wbrew tym co „kochają teatr a milczą”, Świerczewski kocha i daje tej miłości wyraz zewnętrzny zawsze w porę, i zawsze w najlepszym rodzaju.

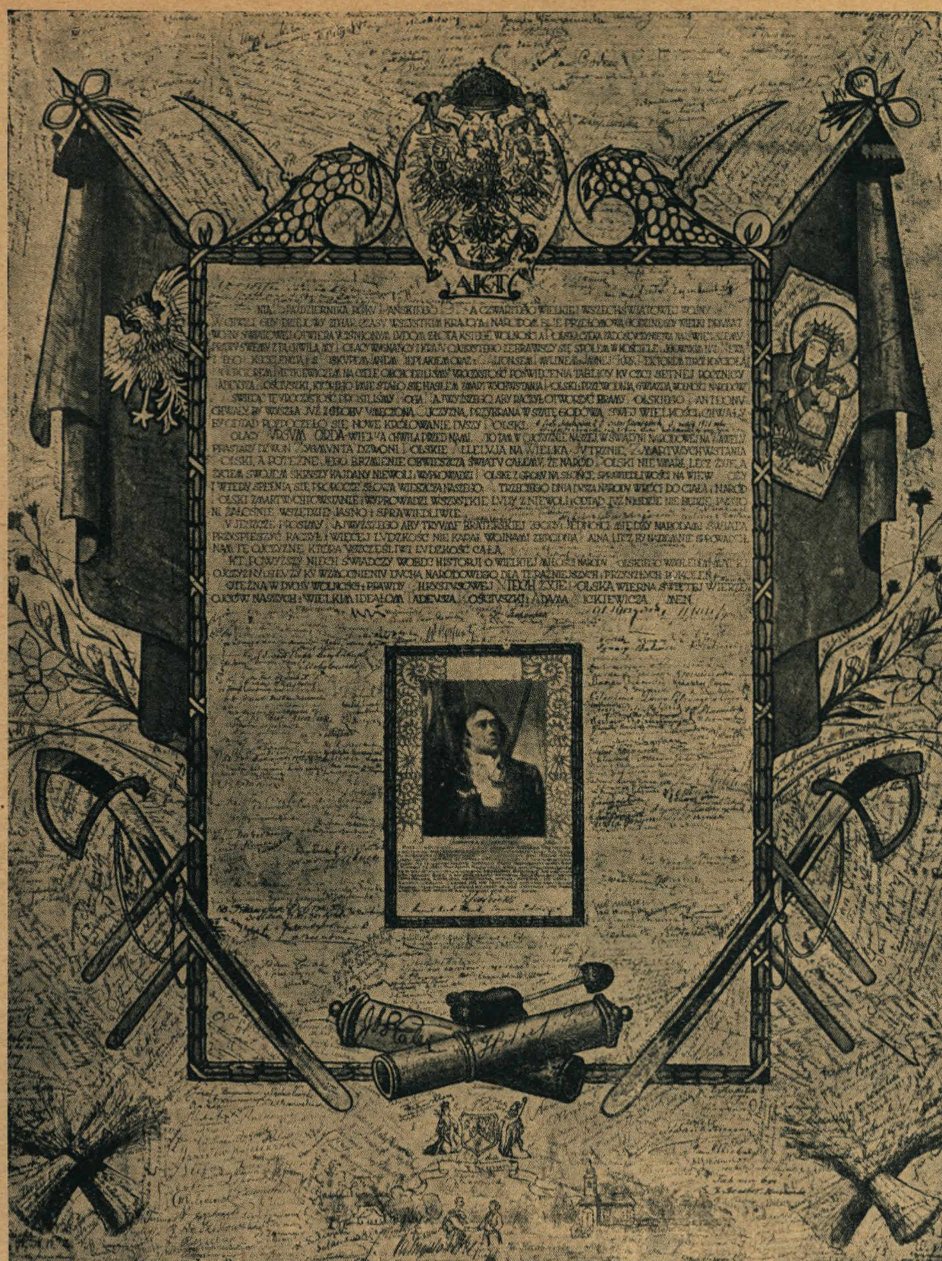
Weźmy choćby sprawę jubileuszu Bogusławskiego. Zawodowi spece historji teatralnej nie zareagowali nań. Przyszedł Świerczewski, poszperał w archiwach, chwycił za pióro i wypuścił w świat książkę, która w walny sposób podwyższyła temperaturę „uwielbienia” dla Bogusławskiego i stała się także rzeczowym przyczynkiem historji teatru. To rozumiem...

Tymczasem bohater mych rozmyślań uporał się już z telefonem, przeorał przez górę dzienników i odetchnął głęboko.

— Kłębowisko interesów — rzucam i ruchem rąk ogarniam pokój sekretarjatu.

— Splot interesów — kiwa potakująco głową — koncentruje się tu wszystko, jak w stacji węzłowej. Repertuar i administracja, nie mówiąc o propagandzie. Tu odbywają się różne narady reżyserów, dekoratorów z naszym prezesem, z kierownikiem literackim, z aktorami. Tu się montuje teoretycznie każdy spektakl.

— Aż przychodzi dzień premjery.



Akt votum narodowego wzniesienia świątyni Opatrzności

— Zaiste istny sądny dzień. Telefon się urywa. Wszyscy mają pilny, najpilniejszy w świecie interes, nie wyłączając najbłahszych nieraz drobnostek.

— Co robić. Ale są zapewne i ważne sprawy.

— Oczywiście. Weźmy naprzykład to, co nazwałbym ogólną atmosferą teatru. Obserwuje się w tej chwili renesans tych metod, które ongiś zaszczepiał Osterwa i Limanowski. Sami aktorzy zwłaszcza młodsi domagają się pewnego pogłębienia w pracy zbiorowej, rozkwita w całej pełni idea zespołu, przeciw dawnej zasadzie wirtuozerji wielkich indywidualności aktorskich. Nie znaczy to, by zanegowano wartość talentów i osobistą odpowiedzialność aktora za swą rolę, jednocześnie jednak kładzie się nacisk na zestrojenie całości we wspólnym tonie, na jednolitość harmonijną dzieła scenicznego. Mamy więc swoje środy, na których dyskutuje się, czyta, wyjaśnia. Następuje wzajemne zbliżenie, wczucie w intencje autora.

Nie trzeba mówić, że jest to z wielką korzyścią dla ostatecznego efektu pracy teatralnej. Oto zjawisko, które pociesza, zjawisko naprawdę dużej miary. Pomimo trudnych, jakże trudnych warunków, życie teatru tętni mocno, a to ma znaczenie dla całego życia kulturalnego.

— Słusznie. Pozwolę sobie przypomnieć koledze, jego własne słowa: „Polityka teatralna jest to celowe wyzyskanie teatru dla dobra i rozkwitu kultury narodowej". Nieprawdaż?

— Cóż mam na to odpowiedzieć? śmieje się Świerczewski. Wyrywa mi kolega z ust moje własne słowa i pyta się czy je akceptuję.

— Najmocniej przepraszam, to tylko dla ożywienia mego reportażu. Muszę się przecież z najlepszej strony zaprezentować czytelnikom, więc wypowiadam cudze aforyzmy na mój rachunek. Dziennikarz jest jak kruk, który kradnie biżuterję.

— No nie. Przecież i ja jestem dziennikarzem — protestuje p. Eugenjusz.

— Wy jesteście wyjątkowy człowiek. Co do mnie zaś, to już sprawa mniej pewna.

Śmiejemy się. W ten śmiech wpada telefon.

— Dzieńdobry Stasiu?

— Zapewne Miłaszewski? — rzucam. Mruga mi potakująco. Ściskam go za rękę i na palcach, by nie przeszkodzić, wychodzę.

U ŚW. FLORJANA WRE PRACA

Gdy doniedawna mówiło się z pewnego rodzaju lekceważeniem o t. zw. parafjańszczyźnie, dzisiaj parafja przeżywa swój renesans. Obserwujemy potężne wzmożenie się jej życia. Pójdźmy więc na teren takiej pracy parafjalnej, by bliżej jej się przyjrzeć.

Jedną z większych parafij naszej stolicy jest św. Florjan na Pradze. Skierowałem tam swe kroki, korzystając ze znajomości z ks. prał. Janem Poskrobką.

Oczekiwanie na rozmowę z nim skracam sobie, rozglądając się po ścianach praskiego probostwa. Z wiszących tam portretów patrzą na mnie warszawscy arcybiskupi: Hołowczyc, Skarżyński, Woronicz, Choromański, Fijałkowski, Feliński, Popiel i J. Em. Ks. Kardynał Kakowski. Galerja tych postaci wnosi tu do tej świeżej siedziby, tchnienie historji od czasów pierwszego rozbioru, przez epokę sejmu czteroletniego, upadku Rzeczpospolitej i okresu niewoli z perspektywą szubienic i Sybiru. Wpatruję się w charakterystyczne oblicze Pawła Woronicza, twórcy hymnu o Ojczyźnie, w ascetyczną twarz Szczęsnego Felińskiego, wielkiego patrjoty, który znalazł się na wygnaniu, w piękne arystokratyczne rysy Popiela, któremu przypadła trudna rola w epoce popowstaniowej — widziałem go raz jeden w trumnie wśród przybranej kirem sali pałacu arcybiskupiego — ileż wspomnień, ileż patosu, jakie wspaniałe blaski i bolesne cienie.

Przechodzę następnie do galerji proboszczów. Są to księża: Zwoliński, Durcewicz, Volkmer, Kłopotowski i wreszcie obecny ks. proboszcz. Świetny pędzel artysty Aleksandra Borawskiego, przekazał jak żywe postacie kapłanów.

W tej chwili wchodzi ks. prałat Poskrobko.

— Więc chce pan mię opisać? — powiada z przyjaznym uśmiechem.



Ks prał. J. Poskrobko.

— Chcę wydobyć światło z pod korca — mówiąc językiem ewangelicznym.

— Niech pan próbuje. Korzec w każdymbądź razie jest...

Śmiejemy się obaj.

— Jak liczna jest parafja? — rzucam pierwsze pytanie.

— 40.000. Było więcej, niewątpliwie ponad możność prawidłowego zaspokojenia potrzeb parafjan. Dzięki wytrwałej inicjatywie J. Em. Ks. Kardynała Kakowskiego powstało na Pradze po wojnie dziewięć nowych parafij. Zaliczam to do najpiękniejszych kart mego życia, że dla paru tych placówek mogłem choć w części urobić teren. Moja parafja, nawet w tej chwili, jest niewątpliwie wielka. W Polsce podobnych, co do liczebności, znajdzie się może kilkanaście. Wymaga więc wielkiej troski duszpasterskiej. Walną pomocą w mej pracy są tu pięknie rozwinięte bractwa, liczące 1500 członków. Członkowie ich korzystają z pewnych ulg przy posługach religijnych. Pozatem, w myśl wskazań Ojca św., podjąłem organizację Akcji Katolickiej, dla której, jak zresztą i dla innych dzieł parafjalnych ważną podstawą będzie Dom Katolicki. Jak go pan tu z tych okien widzi, już stoi, niezupełnie wykończony, ale stoi.

— Potężny gmach.

— 10.000 m. kubicznych. Sala na 1000 blisko osób, piętrowa.

— Przypuszczam, że to coś musiało kosztować?

— Nie tak wiele, jak początkowo liczono. Pierwszy kosztorys opiewał na 381 000 zł. Lecz przyszła obniżka materjałów budowlanych. W tej chwili mowa jest o jakichś 220.000. Z tego mój poprzednik, ks. prałat Kłopotowski, zgromadził 39 000, głównie w postaci cegły, która leżała już na placu. Nolens volens trzeba było zacząć budowę, żeby cegła się nie zmarnowała na stosach. Na pierwsze koszta wydałem dotąd gotówką 80 000, brak jeszcze jakieś 30 000. Jakoś i to się załatwi.

— Znam to „jakoś", księże prałacie, choćby z czasów budowy bazyliki na Szmulowiźnie.

— A jednak. Przed dwoma laty ani myślałem, że tu będę. Snułem sobie beztroskie plany, że po opuszczeniu bazyliki pojadę w szeroki świat na studja i podróże. Najpierw Fryburg. Cisza w dominikańskiej bibljotece. Czytam i czytam, może trochę piszę, jak pan wie, próbuję też pióra. Potem w drogę na szlaki misyjne, zapoznać się z pracą apostolską wśród pogan wszystkich kontynentów świata. Och, świat jest przecież dość wielki i ciekawy, bardzo ciekawy — mówi niskim głosem, jakby przełamując w sobie tę wielką ciekawość świata. Tak, chciałem wziąć od życia jakieś trzy lata dla siebie. Ot generalny urlop. Opatrzność zrządziła jednak inaczej. Znalazłem się nagle tu i poczynam dźwigać z grożącej ruiny

— Wieże kościelne? — wtrącam.

— Wieże, nietylko. Wszystko się sypie i wali. Gzymsy, fryzy, pękają okna, rozpadają się witraże. Wnętrze kościoła też prosi o pędzel i kielnię, wypadłoby skończyć wreszcie polichromję. Trzeba stawiać ogrodzenie i znieść ten ohydny, pochylony parkan, dalej uporządkować cmentarz. Trudno to wszystko wyliczyć. Wreszcie dom Akcji Katolickiej na ukończeniu.

— Praca to żywioł księdza prałata — rzucam z przekonaniem.

— Ano, mam tego żywiołu jak za czasów potopu. To wszystko nic. Z pomocą Bożą zrobi się wiele. Lecz obok tych trosk czysto materjalnych, jest zawsze i w każdej parafji aktualna sprawa życia religijnego. Moja parafja jest wcale, wcale duża. Ożywić to, skupić dokoła kościoła, zespolić z nim, stworzyć wielką rodzinę religijną — oto pilne zadanie. Zwłaszcza wielką troską musi napawać nasza inteligencja, która w niemałej swej części zobojętniała religijnie, przestaje interesować się kościołem, żyć jego życiem, chodzi luzem, nie umiejąc dostrzec w parafji wielkiej, potężnej siły społecznej i moralnej. Parafja to bynajmniej nie parafjańszczyzna — jak słusznie mówił ks. biskup Teodor Kubina na odczycie w sali naszego Domu. Parafja to naturalny ośrodek organizacji życia chrześcijańskiego. Niestety, tego faktu wydaje się nierozumieć wielu, zwłaszcza wśród inteligencji. Gdy zagranicą, w takiej Francji, inteligencja jest spowrotem w pierwszych szeregach katolickich, natomiast lud stoi zdala — u nas naodwrót. Jak dalece niektórzy przedstawiciele inteligencji zerwali kontakt z parafją, miałem tego niedawno przykład. W czasie wizytacji pewien jegomość, i to z wyższem wykształceniem zapytał mego wikarjusza:

— A jak tam zdrowie ks. prałata Kłopotowskiego? (mowa o moim poprzedniku).

— Zmarł przed dwoma laty.

— Niemożliwe — stropił się — przepraszam bardzo za mą ignorancję, ale ja chodzę do innego kościoła.

— Czyż doprawdy zwalnia to choć od minimalnego zainteresowania sprawami parafji? — dorzuca ks. proboszcz.

Innym razem zaczepia mię w kancelarji jakiś młodzieniec, zapytując:

— Czy ksiądz jest tu proboszczem?

— Tak. Czem mogę służyć? — odpowiadam zdziwiony tem pytaniem, zastanawiając się z której części świata przybył ten człowiek.

— Chciałem prosić o świadectwo moralności.

— W jakim celu?

— Pragnę wstąpić do klasztoru.

— Mój przyjacielu, pomyśl tylko — odpowiadam — jakżeż to mogę ci wystawić świadectwo, skoro nietylko że ja nie znam ciebie, ale nawet ty nie znasz mnie, swego proboszcza. Chcesz zostać zakonnikiem, służyć Bogu, a zapominasz o swej parafji i swym duszpasterzu. — Takich sytuacyj bywa więcej — ciągnie ze smutkiem ks. prałat. Oczywiście w wielkiem mieście trudniej jest o kontakt proboszcza z parafjanami, ale przecież i w tutejszej dość licznej parafji jest to całkowicie możliwe, byle wierni widzieć chcieli w swej parafji ośrodek całego życia duchowego. Tymczasem niejeden parafję traktuje, jako malum necesarium, jako niemiły urząd, od którego wymaga się jednak wszystkiego, byle za darmo. Los kościoła parafjalnego, jego potrzeby, cóż to kogo może obchodzić. Niech się o to Pan Bóg troszczy. Kiedy jednak przyjdzie chwila ślubu, czy pogrzebu, domagają się, by cały kościół jarzył się od świateł, by posadzkę zaścielały dywany, by od wejścia do ołtarza ciągnął się szpaler kwiatów, by organista zagrał pełnym organem, a chór conajmniej ze sto osób, pięknie zaśpiewał, by chociaż trzech księży wyszło do ołtarza. Skąd się to wszystko ma wziąć, o tem już nie myślą.

— Istotnie — powiadam — miałem możność, czekając w parafjalnej kancelarji, stwierdzić. Przyszli młodzi zamówić ślub. Dyżurny wikarjusz informuje ich, że koszta wyniosą kilkadziesiąt zł. (w każdymbądź razie było to mniej od 50). Na to młodzi:

— Za drogo.

— Możemy też zrobić za darmo.

— Właśnie, właśnie...

— Jest jednak warunek — wyjaśnia wikary.

— Warunek? — dziwią się kandydaci do małżeństwa.

— Nic strasznego. Trzeba opłacić składki parafjalne po 50 groszy miesięcznie.

— To są takie składki?

— A jakżeż może być inaczej. Parafja musi przecież z czegoś istnieć. Potrzeb jest niemało.

— Ile to wyniesie? — pytają się oblubieńcy.

— Proszę pomnożyć ilość lat obojga państwa przez dwanaście miesięcy i przez 50 groszy. Sądząc na oko — powiada z uśmiechem ks wikary — jakie trzysta złotych.

— To niemożliwe — przerazili się młodzi.

— Nie to matematyka, proszę państwa — odpowiada z niezmąconą powagą, by po chwili znów podjąć podobny temat z innym interesantem, który nagwałt domaga się kopji jakiegoś aktu za ulgową cenę.

— Może być za darmo — powiada wikarjusz — jeśli przyniesie pan do tego aktu papieru, atramentu i znaczków, a następnie przez parę dni będzie pan u nas za woźnego.

— Owszem, chętnie. Mam czas. A gdzie będę wysyłany?

— Jak się okaże. Najpierw na Targówek, potem może do Mokotowa.

Wobec takiego dictum interesantowi, jak to mówią, rzednie mina.

— Widzi pan — wtrąca ks. proboszcz — czasami rzeczywiście ma się do czynienia z nędzą. Bardzo często jednak ze skąpstwem czy chciwością. Pamiętam, byłem raz egzekutorem testamentu, w którym figurował zapis na kościół. Ktoś z rodziny zakwestjonował testament. Ja dla świętej zgody proponuję ugodę.

— Nie i nie. Pójdziemy do sądu — opiera się strona przeciwna. Była to zwyczajna wiejska kobiecina, analfabetka. Pytam się jej więc, niby nigdy nic:

— A Makuszyńskiego pani czytała?

— Ja tam byle czego nie czytam — obrusza się.

— A szkoda. Makuszyński pisze bowiem w jednem miejscu, że gdyby przy wypędzeniu z raju byli adwokaci, to proces z tego powodu trwałby dwa i pół miljona lat. Tak samo będzie i z pani procesem. Jeśli zaś pani pójdzie na ugodę, za tydzień będą pieniądze.

— Nie, za nic.

— Dobrze. Minęło trzy lata. Kobiecina przegrała sprawę w sądach. Przychodzi do mnie z płaczem i powiada: — A możeby tak ksiądz proboszcz poszedł na ugodę. Na to ja:

— Zapóźno. Jakto zresztą jest. Ma pani wyrok sądowy i jeszcze jej źle? Że przegrana, ale kto nie chciał prywatnej zgody, niech ma publiczną przegraną. — Z intonacji słów wyczuwam, że jednak ta twarda lekcja, której życie udzieliło owej kobiecie, jest w jego oczach nie jakimś odwetem, lecz przykrą koniecznością, swego rodzaju surową pedagogją, której trzeba dla prostaków.

— Żeby nie zostawić pana pod wrażeniem tych przykrych historyj, pozwolę sobie zaznaczyć, że niebrak też przykładów prawdziwej ofiarności. Co niedziela pewna pani kładzie na tackę stale dziesięć złotych. W puszce św. Antoniego nigdy nie brak większych sum, raz znalazł się banknot 500-złotowy z kartką: „Teraz wierzę, że św. Antoni pomaga w potrzebie". Trzeba przyznać, że te ofiary nieraz ratują trudną sytuację parafji i pomagają nam w realizacji naszych dzieł. Niech pan weźmie choćby nasz Dom katolicki. Jak dotąd, wymaga on wciąż licznych nakładów. Lecz przedewszystkiem wypadnie mi pokazać go panu od wewnątrz.

— Ksiądz proboszcz zgaduje ludzkie życzenia — rzucam żartobliwie. Idziemy zatem zrealizować to odgadnięte życzenie.

Wchodzimy do pięknej, jasnej i przestronnej sali teatralnej, o artystycznie drzewem zdobionym stropie, i w motywach ludowych polichromowanych ścianach, zakończonych boazerją.

— Sala służy na teatr, zebrania stowarzyszeń.

— Słowem i tu wprowadził ksiądz życie — rzucam.

— Tak trzeba, wszystko trzeba ogarniać. Być wszystkiem dla wszystkich — mówi z mocą ten naprawdę mocny człowiek, szlachetny i dzielny kapłan. Żegnamy się. Ksiądz prałat śpieszy do swych zajęć. Mnie zaś powierza w ręce kierownika kina oraz ks. wikarjusza Gogolewskiego, zajmującego się „Caritasem". Z ich ust dowiaduję się wiele ciekawych szczegółów o działalności kina, o dalszych planach stworzenia klubu, gospody, czytelni i t. d. w gmachu Domu katolickiego. Ks. wikary mówi mi o trudnościach w akcji charytatywnej: o tem, że delegatów konferencji św. Wincentego zatrzymuje się i konfiskuje zebrane ofiary, a przecież Konferencja obchodziła stulecie swego istnienia w sali Rady miejskiej i oczywista działa najlegalniej w świecie. Ba, cóż, kiedy na Pradze nie wiedzą nic o tem... W Warszawie — to znaczy po drugiej stronie Wisły, nie chcą nic wiedzieć o właściwym celu czysto kulturalno-oświatowym, dla którego uruchomiono kino i kropią takie podatki, jak od handlowych przedsiębiorstw. Gdy urządzono wieczór kolęd na korzyść najbiedniejszych parafjan, magistrat ni mniej ni więcej 30 proc. chce zagarnąć na podatek. My go wyręczamy w opiece nad ubogimi, a on nam przeszkadza. Z kinem także dzieją się dziwne dziwy. Już sam fakt, że bilety zaczynają się u nas od dziesięciu groszy, ma chyba dostateczną wymowę, a przecież kwestja podatkowa wciąż wisi nad nami niby miecz Damoklesa. Tymczasem pracujemy. W kilka tygodni przewinęło się przez naszą salę 15 tysięcy widzów, z tego lwia część to dzieci. Oddziaływanie na dzieci to klucz naszej misji kulturalnej. Wyrabiamy z nich przyszłą publiczność, uczymy ich kulturalnego zachowania się w lokalu publicznym, zamiłowania do zdrowej rozrywki, dajemy im tu na parę godzin wieczornych schronienie i opiekę i za to wszystko traktują nas jako handlarzy. Mniejsza już o „honor", ale praca na tem cierpi. A chyba praca to rzecz najważniejsza — mówi ten przedstawiciel bezinteresownej pracy społecznej.

DON JOSE ST. NOARRO. 13)

ZDOBYWCA AFRYKI

POWIEŚĆ.

— Na nieszczęście bowiem — poza estetyczna w rządzeniu społeczeństwem, to parawan, ponad który wkrótce wyrasta zezwierzęcona głowa sankiulota. Jeszcze on milczy — jeszcze straszy go napuszony estetyzm władców, za którym, być może, kryją się armaty. Lud boi się, ale do czasu. Biada, gdy przemówi i zacznie wypominać możnym tego świata swe rzeczywiste i urojone krzywdy. Niedołęstwo sentymentalne jednego tyrana prowadzi do powstania tysięcy tyranów, którzy jednak nie bawią się już w lirykę polityczną, ścinają poprostu łby i nabijają sobie kabzy. Wreszcie wyrazicielem władzy staje się „natchniony duchem bożym rzeźnik — Kleon i znów wszystko wraca do porządku pod władzę jednego tyrana. Rewolucja to pogrzeb ostatniej klasy, w którym nieboszczyk sam kopie sobie grób.

— Niepotrzebnie mnie pan przekonywuje o bezcelowości i niebezpieczeństwach rewolucji. Życie przekreśla każdą rewolucję a jej reakcyjne zdobycze zapisuje do swych pasywów.

— To piękne. Niestety, nie nabrał pan jeszcze wstrętu do demokracji, która jest freblówką rewolucji.

— Tak, ale ojczymem jej jest tyrania jedynowładcy. Ona rodzi gadatliwy parlament, jako rzekomą klapę bezpieczeństwa przeciw apetytowi władzy ze strony demosu. Komedja jest krótka. Najpierw spada głowa Ludwika, potem żyrondystów (endeków), jakobinów (pepesowców), aż przychodzi do głosu komunistyczna góra Dantona, jednowładcy. Potem idzie Robespierre, i przewyższający go krwiożerczością Marat, który domaga się 200.000 głów wrogów ludu... z pośród tego ludu.

I znów zaczyna się odwrót aż do Napoleona — jednego z trzech konsulów-tyranów i wkońcu — poprostu — imperatora-supertyrana.

Po carze przychodzi Kiereński, po nim Lenin — i ugodowy Trocki, wszystko rachmistrze ujemnego bilansu życia, na którego wyrównaniu mają zamiar zarobić niewiele — tylko tron na Kremlu i sowitą emeryturę.

Rewolucja w doświadczeniu dotychczasowem historji to cyrk zorganizowany ad captandam benevolentiam motłochu, głodnego, nagiego i bosego. Nic dziwnego, że cieszy się ona popularnością wśród sfer pozbawionych obuwia — jest bowiem próbą chodzenia na głowie przez ludzi bez głowy. Jest to niewygodne, więc szybko wraca się do normalnej pozycji, ale dla motłochu gra się nadal komedję w kabarecie, zwanym parlamentem. Tłumowi imponuje bowiem wszelkie kuglarstwo, coś niezwykłego, chociaż nie ma to praktycznej wartości, nieraz jest wręcz szkodliwe. I dlatego domaga się on zawsze circenses. Dano mu więc parlament.

Jest pan zbyt złośliwy i dlatego niesprawiedliwy. Parlament w niejednem społeczeństwie wypełnia bardzo doniosłą rolę, jest narzędziem kontroli władzy, źródłem zaspokajania potrzeb ludności. Parlament angielski naprzykład.

— Tak, tak. Zagranicą — zapewne, ale i tam jest tylko korektywą świadomie zażywaną przez jednowładcę! Poincaré, Mussolini, czy Hindenburg ograniczyli go.

— Twierdzę, że ograniczenie parlamentu nie wyjdzie na dobre wyrobieniu politycznemu tych ludów. Gdy zabraknie wielkich wodzów — runą państwa. Cechą dyktatora jak każdego genjusza jest, że schodzi bezpotomny fizycznie i duchowo. Runą w otchłań demokratycznego bałagulstwa. I my, Polacy, ubraliśmy się w demokratyzm, jak Wojtuś w tatulowe portki. Nic dziwnego, że przyszedł taki, co je zdarł nam z kulasów i dyktatorską ręką wrzepił ostrą porcję ustrojowego rozumu. A mogło się skończyć gorzej, gdyż o mały figiel portczyny mogłyby przepaść u szachrajów, zastawione za garść liczmanów demagogicznego pochlebstwa. — Błędy naszej praktyki ustrojowej nie dyskwalifikują demokracji. Zresztą dyktator nie jest dziś wszystkiem.

XV.

Rada gabinetowa zebrała się punktualnie. Początek posiedzenia wypełniły różne sprawy formalne, z których większość dotyczyła przesunięcia granic gmin i powiatów. Premjer kładł z nerwowym pośpiechem zamaszysty, ale równy, skupiony podpis na podsuwanych mu szybko papierach i spoglądał wprost z nienawiścią na wielką stertę aktów, oczekujących jego sygnatury.

Wreszcie odrzucił pióro i odetchnął głęboko, z ulgą.

— No, skończyła się nudna i bezpłodna pańszczyzna. Mapę Europy zmieniliśmy bez krwi rozlewu... uśmiechnął się ironicznie — doprawdy, chętniebym zrezygnował z tego przywileju na rzecz wojewody czy starosty. Skutek ten sam, a bez straty naszego cennego czasu.

— Jest to jedna z pozostałości czasów monarchicznych, kiedy do króla należała wszystka ziemia — wyjaśnił jeden z ministrów.

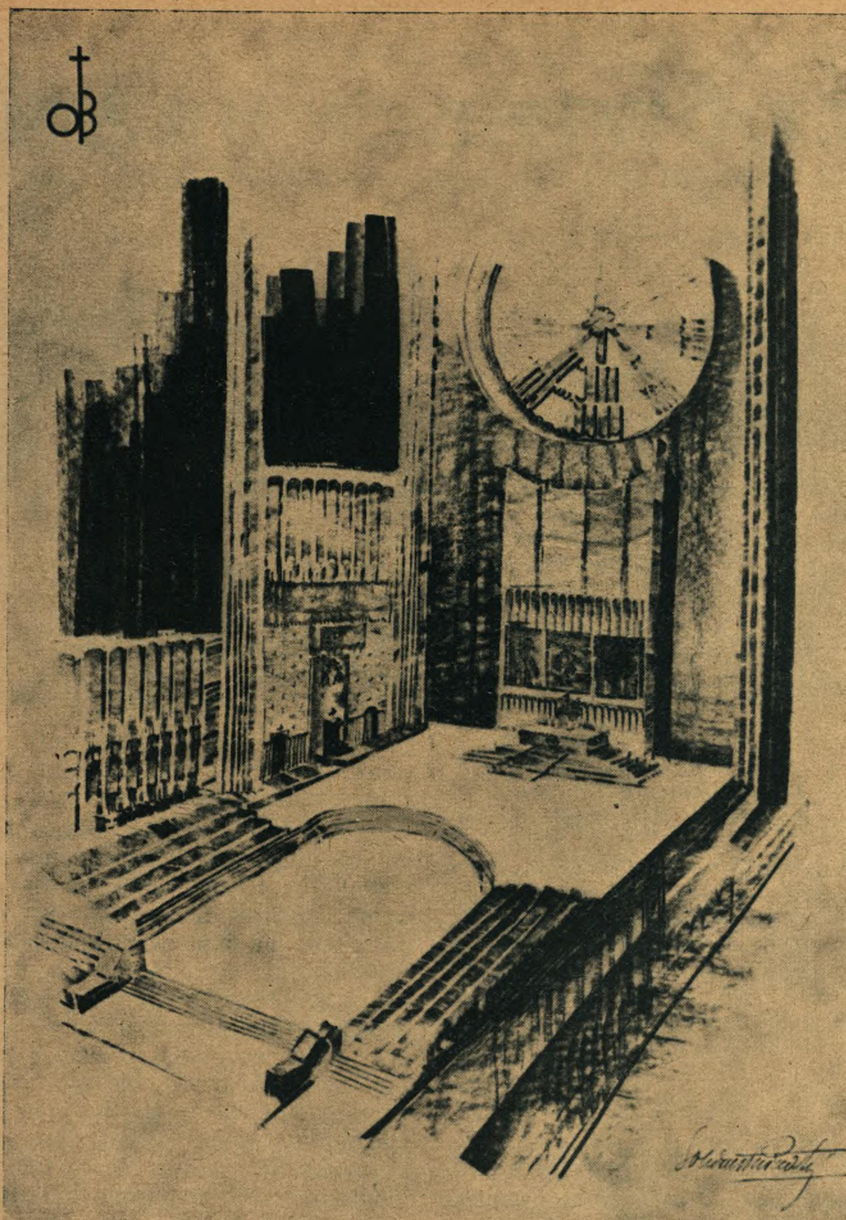
— Pięknie. Obecnie jest to przeżytek. Zastanowimy się nad sposobem jego zlikwidowania.

— Panie premjerze, zanim się tem zajmiemy, mamy na porządku dziennym sprawę — mówiąc żartem — rozszerzenia granic Rzeczpospolitej Polskiej o wielkie tereny w Afryce.

— Aha — Kamerun. — Dobrze, dobrze — mam ochotę rozstrzygnąć tę sprawę — ożywił się premjer. Słucham.

— Szanowni koledzy — zabrał głos minister spraw zagranicznych. — Kwestja uzyskania dla Polski kolonji w Kamerunie, spopularyzowana tak znakomicie, dzięki działalności Polskiego Towarzystwa Kolonizacyjnego, ma szanse powodzenia na forum międzynarodowem. Jeśli więc zdecydujemy się podjąć sprawę kolonizacji, to bez nadzwyczajnych przeszkód powinniśmy otrzymać Kamerun. Jak powiadam, jeśli chodzi o teren międzynarodowy — chwila jest szczęśliwa.

— Słusznie — zaczął mówić minister spraw wewnętrznych. — Kolega zwraca uwagę, że rozpoczęcie akcji dyplomatycznej będzie konsekwencją zasadniczej



Presbiterjum Świątyni Opatrzności.

Proj. B. Pniewski.

decyzji podjęcia przez rząd akcji kolonizacyjnej i włączenia jej do swego programu. Moment tej akcji początkowej musi nastąpić na tle właściwej sytuacji politycznej i gospodarczej państwa. Cała ta bomba kolonizacyjna — nie wiem, czy wszyscy z nas zdajemy sobie sprawę — jest, jak to słusznie zauważył „Głos Prawdomyślności", intrygą przeciw rządowi. Sytuacja polityczna i ekonomiczna państwa jest tego rodzaju, że niema czasu ani możności podejmować takich ryzykownych, nazbyt olbrzymich eksperymentów. Nawet częściowa realizacja wymaga wielkich środków finansowych, których państwo nie ma zbyt wiele na rzeczy konieczne, jak wojsko i program inwestycyjny. Nie możemy więc dać się zasugestjonować tej, z obłudnych pobudek podjętej akcji, która ma na celu nietyle dobro kraju, ile raczej obciążenie rządu niewykonalnem zadaniem. Cała historja kameruńska — to sprytny fortel, najmniejszej jednak ochoty nie mam odegrać w niej rolę przysłowiowego murzyna.

Skolei zabrał głos minister opieki społecznej.

— Sądzę, że kolega minister trochę przesadził w ocenie trudności, związanych ze sprawą kolonizacyjną. Na podstawie doświadczeń mego zakresu muszę stwierdzić, że państwo nasze jest rozsadzane przez nadmiar ludności i stosunki pod tym względem z roku na rok się pogarszają. Sprawa emigracji kolonizatorskiej jest więc już aktualna oddawna. Nie widzę zatem specjalnego intryganctwa w tem, że ktoś ją podejmuje i propaguje.

— Aktualna dobrze, ale niemożliwa do realizacji — wtrącił min. Smostkowski.

— Przypuszczam, że kolega Rusowicz, jako minister finansów, będzie innego zdania — kontynuował minister opieki. — Sądzę, że państwo ma obowiązek zająć się tą sprawą, może bez obawy katastrofy podjąć jego spełnienie.

Premjer, który siedział dotąd z pochyloną głową, jakby obojętny na przebieg dyskusji, nagle się poruszył i, zwracając się w stronę min. skarbu, rzekł:

(Dalszy ciąg nastąpi).

MICHAŁ RUSINEK

CZŁOWIEK Z BRAMY

(Fragment powieści, która pod tym tytułem ukaże się za kilka dni nakładem Gebethnera i Wolffa).

Autor poniżej zamieszczonego fragmentu powieści „Człowiek z bramy”, w rozmowie z nami rzucił szereg uwag na marginesie swego dzieła.

— Jakie założenie było punktem wyjścia pańskiej pracy pisarskiej nad nową powieścią?

— Zarówno w „Burzy nad brukiem” jak i w „Człowieku z bramy” kierowała mną chęć pokazania całego człowieka bez żadnych sztucznych nadbudówek, na tle najprostszych przeżyć i zdarzeń, wśród elementarnych warunków życia człowieka z bruku, z tłumu.

— Bohater powieściowy, Piotr wybija się przecież?

— To prawda. Pokazałem cały mechanizm i całą atmosferę psychiczną tego procesu wybijania. Odsłoniłem wszystkie podniety i sprężyny. Pokazałem także załamanie się Piotra, gdy daje się porwać agitacji socjalnej i bierze udział w strajku szewców w Gdyni.

— W rezultacie każe mu pan wracać na stare śmieci.

— Coś więcej — wracać na glebę, do gruntu społecznego i psychicznego, z którego wyrósł.

— Czy to ma być symbol?

— Jest to wyraz mego głębokiego przeświadczenia, że człowiek jest cząstką swego środowiska społecznego, że powinien pozostawać z niem w związku.

— A może Piotr nie jest zdolny pójść dalej? — prowokuję mego rozmówcę.

— Przeciwnie — obrusza się. Piotr jest wyposażony w spryt, który mu wystarczy, dla jego celów. Ale poza jego karjerą osobistą widzę ja coś ważniejszego, widzę jego warstwę społeczną, solidarności, z którą nie może zrywać ani zrzekać się odpowiedzialności za nią. Jest w tem coś z prawa natury. Kołobieg życia musi mieć swoje stałe ognisko, jeśli niema zagubić swego rytmu i celu. Tę prawdę odnajduje Piotr, wracając do bramy swego domu, skąd wyszedł w życie.

— Pan każde wyratować mu z pod kół dziecko...

— które ma także na imię Piotr. Chcę przez to ukazać ów ciąg nieprzerwany zjawisk społecznych, w których jednostka jest tylko chwilą, zdarzeniem.

— Nie jestże to pesymizm? — jątrzę znów pytaniem autora „Burzy”.

— Nie, bynajmniej. Jednostka uwydatnia się na tle społeczeństwa, w niem czerpie pewne racje bytu. Na fakt ten chciałem właśnie wskazać.

Piotr szedł obok Marty, lecz nie widział wiele rzeczy. Można mieć przedmiot tuż pod ręką, a szukać go na odległym planie, często bowiem bywa tak, że rzecz jest bliskością swą odległa, a dalekością bliska.

Piotr, poprzez cień Marty, poruszający się przed nim po piasku i po przez ten dom surowizną pachnący, patrzył w przestrzeń nieuchwytną okiem, ale przecież, gdzieś tam za zrębem wszystkiego, co się widzi naokół, cierpliwie czekającą.

Przez ten zwalisty, szarzejący w mroku dom, jak przez przezroczysty pryzmat, przesiewały się ku niemu dalekie bruki rodzinnego miasta, ulica stulona, znieruchomiała w wiecznej ciszy, i tamten dwoma szkarpami w połowie bruku zaparty.

Dom tamten wrastał się w dom ten i Piotr przymierzał dom do domu. Te sto tysięcy, które mu tak przypadkiem rzuciła w uszy Marta, szuflował w myślach i przeliczał. Odruchowe jej słowa, zaczął w sobie przetrawiać i przeliczać.

Naprzód obciął sobie to w myślach do 80 tysięcy, bo powiedziała, jego zdaniem, za dużo. Liczył okna i piętra, mierzył wysokość okien i sposobem laika zakreślał sobie sumę.

Potem ją zaczął dzielić na lata. Przymierzał do tego domu przeciętną ostatnich dochodów i to rozbełtywało w nim nowy niepokój, bo wypadkowa obliczeń, wyciągała się na lata całe.

W milczeniu odbywali resztę drogi. Piotra opętały rachunki, a ona nie miała już odwagi zaczynać znów rozmowy. Ciążył na nich obojgu ten dom, który mijali właśnie.

Kamienica wytynkowana z zewnątrz, była jeszcze nie skończona. Przez oszklone dziury okien, wypychała się z czeluści domu czerń i pustka. Woń wapna biła z tych ciemności.

Wewnątrz budynku zarówno jak i w następnych nowozaczętych budowlach ucichła dzisiaj praca. Zastygły w ruchu osamotnione windy i wypoczywał przed blokami domów martwy materjał budowlany, bezradny i nieruchomy, nieświadom swej przyszłej potęgi. Jakiś człowiek siedział na surowych deskach, pachnących rozkrajanem wnętrzem drzewa i kurzył fajkę.

Z pośród tych domów samotnych wyszli wkońcu na ich ulicę. Piotr uświadomił sobie, że przecież nic nie mówi. Chciał prędko naprawić zło i byle co słowem z miejsca poruszyć, ale tak jakoś głupio i nieporęcznie mu było wznowić rozmowę. Wiele to razy człowiek sam stwarza nieoględnie milczenie, a ono potem jest silniejsze niż człowiek. Jakikolwiek wyraz dobierany żmudnie w myślach jest dziwnie słaby, wobec takiej zastarzałej w ustach ciszy.

Piotr dodawał sobie mocy tem, że musi coś rzec zanim wejdą do bramy, bo inaczej jakże się to wszystko głupio skończy. Cały aparat zmysłów rzucił na poszukiwanie tematu, ale co szło pod uwagę, przemienionen a słowa, wydawało mu się drobne i głupie.

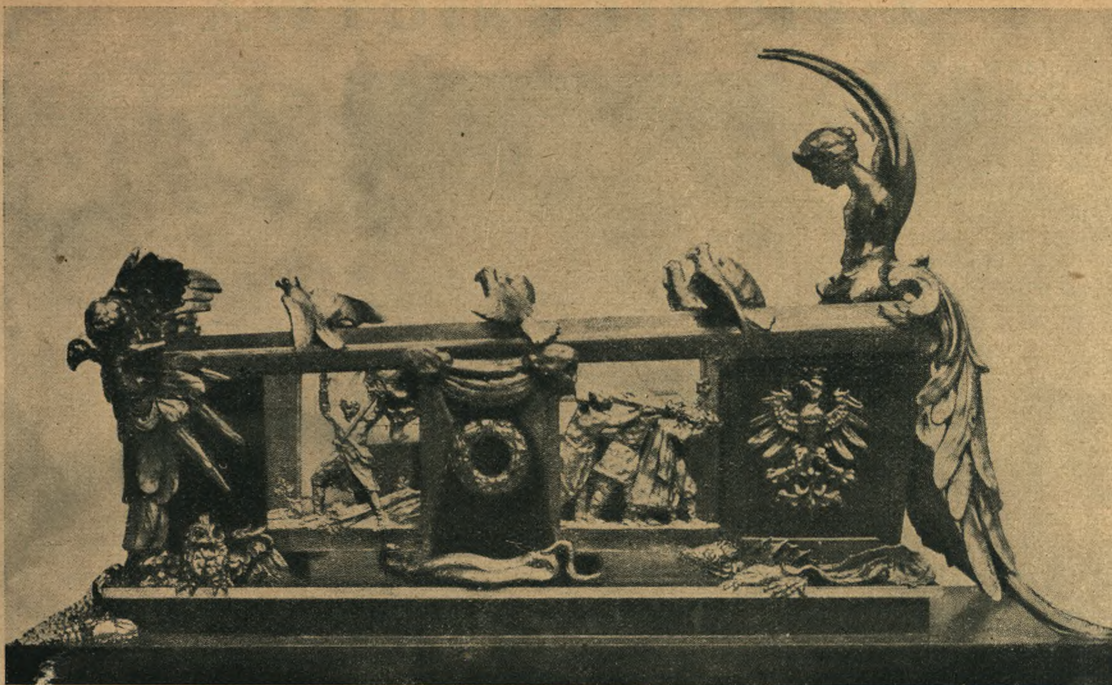
Gdy wreszcie na skręcie zobaczył biegnącego chyłkiem człowieka z wielkim tobołem bieli na barkach, ucieszył się, że ma temat. Chciał już rzec, że to niby nawet w święta tak ludzie uganiają się wokół pracy, ale się na czas przychwycił na niedorzeczności. Sam przecież pracował często w niedzielę.

Znów szedł zmieszany tem wszystkiem, a dom się uporczywie zbliżał. Kiedyindziej cieszył go pośpiech, a teraz naodwrót, sam odpychał od siebie jak najdalej koniec drogi, mimo, że stawała się dla niego nader przykra.

Dom był już tak blisko, że stały się czytelne wszystkie napisy jego reklam, rozwieszone wzdłuż ściany nad oknami i bramą.

Wreszcie obrobił w gardle pierwsze słowa. Zanim jednak zdążył je powiedzieć, wszystko naraz zmąciło mu się w krtani.

Z bramy wypadł w ulicę przeraźliwy krzyk strachu. Jakby zarzynano świnię. Ten kwik roztrzaskał powietrze raz i drugi. Nie zrozumieli co się dzieje. Tuż za krzykiem wytrysnęła pędem z bramy rozczochrana Karasiowa. Była znacznie niższa niż zwykle. Nie wiedzieć dlaczego trzymała w ręce ociekającą mlekiem chochlę. Miała wystraszone oczy ryby, a ręce goniły jej błyskawicznie w wietrze jak wiatraki.



Sarkofag, strona lewa. *A. Borawski.*

Krzyk zarzynającej świni przekrajał się znów z powietrzem. Darła się Karasiowa.

— Złodzieeeje, złodzieeeje!

Brzuch Milradki kołysał się już nad schodkami i leciało z niego w ulicę to samo:

— Złodzieeeje, złodzieeeje!

Łysy Milrad wypluwał tuż obok niej krzyk w powietrze, a nawet mały Josek, przepchawszy się między nogami ojca, piszczał:

— Ziodzieje, ziodzieje!

Karasiowa skoczyła pięć kroków wprzód, pięć spowrotem, wtył, potem zamąciła kółko, aż czyjś głos ocucił tę całą sprawę.

— Po policję. Policja!

— Policja, policja! Gdzie policja?! — udarła się znów Karasiowa.

Wszystek krzyk przerzucił się na to słowo. Cały dom wrzeszczał w ten sposób o ratunek. Policja, coś zbytecznego dawniej dla tego domu, przemieniła się naraz w myślach domowników w jedno upragnienie. Człowiek w granatowej czapie, którego tu nikt nigdy nie potrzebował, stał się w tej chwili wszystkiem.

Piotr, uderzony złem przeczuciem, dopadł Karasiowej. Myślał w tej chwili jedynie o bronzowej szafie w swoim pokoju. Schwyciwszy Karasiową mocno za rękę z chochlą, pytał skwapliwie:

— Co się stało, co się stało?

— Złodzieje! Całe pranie z koszyka, złodzieje. Ani jednego strzępa, złodzieje!

Odetchnął z wielką ulgą. Tak już jest, że w takich chwilach myślimy przedewszystkiem o sobie. Niemal jednocześnie jednak tenże sam oddech ulgi sprawił mu przykrość.

Z oczu praczki siurały grube łzy. Piotr poczuł nagły obowiązek zrehabilitować się z własnych myśli.

I wtedy wypłynął mu w myślach człowiek z tobołem, pomykający się popod murami przed chwilą. Bez chwili namysłu pociągnął Piotr Karasiową za rękę i puścił się co tchu do narożnika ulicy.

Po drodze krzyczał razem z praczką:

— Policjaaa, policjaaa!

Tu się nadziali wreszcie na biegnącego ku nim człowieka w granatowym mundurze. Na jego widok siurnęły mocniej łzy Karasiowej. Miała już połowę szczęścia w sobie. Dopadła policjanta i krzyczała przez łzy.

— O mój panie, mój panie! Złodzieje, o mój panie!

— Ukradli tej kobiecie bieliznę — objaśniał Piotr. — W tę ulicę uciekał ktoś z tobołem.

Już biegli wszyscy razem. Za nimi rosła wrzawa, potęgowana tu jeszcze gwizdkiem posterunkowego.

Dopomógł do wszystkiego człowiek z fajką, stróżujący przy deskach koło budowy. Jeszcze przedtem spostrzegł i spłoszył przypadkowo złodzieja w chwili, gdy, przerzuciwszy przez parkan toboł, piął się po deskach na budowę. To ułatwiło dalszy kierunek pościgu.

Toboł z bielizną znaleźli porzucony tuż za parkanem. Piotr, który przelazł przez parkan razem z policją, zakończył tu swój udział w pościgu.

Krzyczał z za parkanu w ulicę:

— Pani Karasiowa, pani Karasiowa!

— Jestem tu, o Jezu, nie przelezę bez ten parkan.

Przykleiła się do desek, a Piotr krzyczał poprzez wrzawę.

— Jest bielizna, pani Karasiowa, jest bielizna!

Związał spowrotem rozluźniony toboł i przerzucił go przez płot.

Toboł schwyciła w rozłożone garście praczka i upadła razem z nim w rumowisko. Cały świat dla niej nie istniał, tylko ta kupa pomierzwionych betów. Gdy tak, leżąc na zbrudzonem tobole, zanosiła się od radości i płaczu, Piotr, patrząc na nią, czuł jak mu spływa z serca część wielkiego długu.

I tak w tem, jakoś niespostrzeżnie przepadło mu w pamięci niezwykłe rozstanie się z Martą, które zaprzepaściło się w szybkim młynie wrażeń, jak ziarno zarzucone w ziarna.

Z PIŚMIENNICTWA

Ks. Dr. T. MĄCIOR P. S. M.: Na gruzach zburzonych ołtarzy. Wyd. Księży Pallotynów. Warszawa. 1934. Str. 125. 80 gr.

Z rzetelnej troski o przyszłość powstała ta książka, podyktowana gorącem sercem i napisana chłodnym, trzeźwym rozumem. Autor z przerażeniem stwierdza, że „człowiek zaślepiony zdobyczami technicznemi a nieczujący już pod stopami gruntu twardych i niewzruszonych zasad, jakie mu dyktowała niegdyś zdrowa filozofja i wiara, zapatrzony w jakąś nieznaną, wyidealizowaną przyszłość świata materjalnego, nie uznaje żadnych świętości i depce brutalnie po wszystkiem, co wieki przeszłe stworzyły, szanowały i czciły". Ten brutalny pochód naszej cywilizacji po wielkich wartościach naszej chrześcijańskiej kultury został odmalowany w sposób wymowny przez autora. Stwierdzając jako cechę charakterystyczną naszych czasów ogólne odstępstwo od zasad religji, ks. Mącior śledzi i wykazuje fatalne skutki tego zjawiska w różnych dziedzinach życia. Owszem reakcja przeciw bezbożności wznowiła w pewnym zakresie życie religijne, stworzyła nowe ożywcze prądy w Kościele, że wymienimy Akcję Katolicką, tem nie mniej jednak cała rozległa sfera zjawisk i zagadnień życiowych znalazła się pod władzą laicyzmu. Temu laicyzmowi, którego rozkładowy duch niweczy naszą cywilizację, wypowiada autor walkę i w szeregu publicystycznych starć i wypadów, z brawurą i umiejętnością ją przeprowadza. Chwyty polemiczne autora docierają zawsze do sedna rzeczy, obnaża on jednem cięciem swego pióra sam rdzeń zjawisk, jak choćby w zamianowaniu nowoczesnego bezbożnictwa „małpowaniem P. Boga". Oczywista, że takie naśladownictwo musi być nieudolniejsze od oryginału. Istotnie też porównanie najbardziej powierzchowne wykazuje, że radykalizm wolnomyślicielski góruje nad ortodoksją katolicką — ciasnotą horyzontów, ślepym dogmatyzmem, tępotą doktrynerską. Wystarczy chociażby w ślad za autorem zanalizować credo wolnomyślicielskie, aby się przekonać jak nieudolną, nielogiczną kleconką jest dogmatyka wolnomyślna. Przechodząc od zasad do zjawisk, ks. Mącior czyni przegląd szeregu kwestyj, a więc kryzysu społeczno-ekonomicznego, kryzysu rodziny i roli kobiety, porusza najbardziej drażliwe tematy, jak stosunek Kościoła do socjalizmu, komunizmu, świeckiej moralności itp. i każdy z nich oświetla oryginalnie, szeroko, bez zacietrzewienia, malując pełny obraz wszystkiemi barwami, a nietylko czarnym kolorem. Ten duch szerokiej tolerancji, ta rzetelność postawy krytycznej pociągają i wciągają czytelnika, prowokują go do refleksyj. Miejmy więc nadzieję, że sprowokują choć w części obóz przeciwny do rewizji swych stanowisk. Będzie to triumf autora na który w pełni zasłużył.

J. St. Cz.

Dr. STANISŁAW BRZEZIŃSKI.: Panowie z Tomic. Polskie Tow. Heraldyczne, 1933, z ilustr. Un bibliophile de la renaisance en Pologne. Société Polonaise d'histoire. 1933.

Jako wyjątki z obszerniejszej pracy ogłosił młody historyk dwa przyczynki do dziejów rodziny Tomickich. Pierwsza praca



Wanda Miłaszewska.

omawia rodzinne gniazdo Tomickich, wieś Tomice o 4 mile od Poznania oddaloną. Zachowały się tam pewne pamiątki w kościółku parafjalnym, o którym mówi tak charakterystyczny dwuwiersz:

Stawił kościół, ale bez wieżyczki".
„Szlachcic polski Mikołaj Tomicki,

Sam kościółek jest przykładem jednonawowego gotyku polskiego z połowy XV wieku. W kościołku zachowały się nagrobki Mikołaja Tomickiego w piaskowcu, fundowany przez żonę i drugi: płyta bronzowa sprawiona przez syna. Szczególnie ten ostatni zabytek, należący do liczby niewielu zachowanych u nas płyt norymberskich, został wyczerpująco opisany i sfotografowany dla pełni obrazu przez autora. Co do jego wartości artystycznej, zachwycony nią autor oddaje jedynie pierwszeństwo płycie Piotra Kmity na Wawelu, którą czytelnicy „Rodziny P." mieli możność poznać w Nr. 11 „Rodz. P." z r. ub. (jest ona dziełem W. Stwosza).

Skolei przechodzi autor do genealogji i historji rodu Tomickich, wdając się w najdrobniejsze nawet jego filjacje, a wreszcie opisując dzieje najważniejszych jego przedstawicieli. Za prof. Haleckim wywodzi Tomickich ze współherbowników Łodzia — linji najstarszej Sędziwoja w Łodzi. Szczególniejszą uwagę poświęca Mikołajowi Tomickiemu chorążemu poznańskiemu i Piotrowi Tomickiemu — biskup. krakowskiemu i podkanclerzemu koronnemu. Zasługi kulturalne tego ostatniego podnosi szczególnie druga francuska brosz. „Rola Piotra Tomickiego na tle bogatych dziejów politycznych i kulturalnych wieku złotego, wyrasta ponad głowami współczesnych w jeden z najbujniejszych przejawów renensansu polskiego. Wytworzył on w zakresie politycznym — polską szkołę dyplomatyczną XVI wieku, dla której kierowana przez Tomickiego kancelarja koronna była wzorem przez długie lata. W zakresie kulturalnym to jeden z najzasłużeńszych w historji Polaków. Nauka, literatura, sztuka znajduje w nim protektora a współcześni wzór uczoności, dobrego smaku i poloru humanistycznego. Imię jego w świetle najnowszych badań nad historją kultury wieku XVI — coraz bardziej uczestniczy na własny rachunek w świetności nieporównanego mecenatu Zygmuntowskiego".

Bibljofilskie skłonności i zasługi wielkiego humanisty polskiego omawia autor we wspom. francuskiej broszurze. Znajdujemy w niej szereg ciekawych danych o skarbach, zawartych w bibljotece księdza kanclerza.

Sumienne studjum przedmiotu, jasność dyspozycji materjału połączona z polotem pisarskim odznaczają obie publikacje, niewątpliwie zasługujące na uwagę nietylko specjalistów. **J. St. Cz.**

GRZYMAŁA-SIEDLECKI.: Miechowiec i syn. 1934. Str. 448. Gebethner i Wolff.

Powieść ta, nawskroś aktualna, drukowana w „Kurjerze Warszawskim" p. t. „Firma" napewno będzie najpoczytniejszą książką sezonu. Rzecz rozgrywa się w prowincjonalnem mieście wielkopolskiem, w środowisku tamtejszego mieszczaństwa i przybyszów z kresów wschodnich b. obywateli. Fabuła wielce urozmaicona, potrąca w sposób umiejętny i o sensacje, lecz przedewszystkiem wnikliwie oświetla psychikę bohaterów, wziętych ze środowiska dotąd mało przez naszą literaturę eksploatowanego, a mianowicie, firmy handlowej, jej wzlotów i upadków, konjunktury i kryzysu — powieść, nie lękającą się tak „prozaicznych" tematów jak sprawy rynku, akcyj, bankructw i t. p.

Grzymała dał nam coś w rodzaju polskich „Boodenbrocków", z tą różnicą, że, gdy Tomasz Mann stwierdza właściwie upadek rodu kupieckiego i z pesymizmem patrzy w przyszłość, Grzymała pełen jest optymizmu, i to nie jakiegoś taniego, ale opartego na głębokiem przeświadczeniu i wierze w wartość moralną człowieka. Takiego człowieka, a właściwie szereg ludzi przedstawił nam autor w swej powieści, wyposażając przy wszystkich wadach w cenne zalety moralne, które ich predystynują do zwycięstwa, do pokonania chwilowych konjunkturalnych przeszkód i trudności w imię wyższych sprawdzianów. Jest w powieściowych bohaterach Grzymały wysoka rasa duchowa, która każe z przychylnością do nich się ustosunkować. Stają się oni wkrótce bardzo nam bliscy. Ich przeżycia, zmagania, troski i radości wchodzą w treść naszego życia. Wielka to magja pisarska stworzyć na przestrzeni dzieła literackiego taką fikcję pełną barw życia, ważniejszą od autentycznych zjawisk. Nie dziwiłbym się, gdyby do autora zgłaszano się o bliższe informacje co do firmy „Miechowiec i Syn" w celu wejścia z nią w stosunki handlowe. Bo przecież ci Miechowscy to sympatyczni ludzie i tacy, na których można polegać. A w intersach to grunt. Do szeregu wysokiej rangi postaci literackich z „branży kupieckiej", jak Połaniecki i Wokulski, przybył Miechowiec herbu „Grzymała" i odrazu zdobył sobie poczesne i zaszczytne miejsce.

J. St. Cz.



Las pod śniegiem...

NA FALACH CZASU

Wpisując nową datę do dziejów Kościoła w Polsce, mamy sposobność podsumowania zdarzeń roku ubiegłego.

Rok 1933, nie obfitował coprawda w zjawiska nazbyt wielkiej wagi dla życia kościelnego, tem nie mniej zaznaczył się dalszym postępem tego życia, wzmocnieniem autorytetu Kościoła w społeczeństwie, rozszerzeniem i ugruntowaniem jego wpływów, pogłębieniem akcji katolickiej, mimo niesprzyjających warunków gospodarczych i politycznych. Ogłoszony przez Ojca św. rok jubileuszowy 1900-lecie Odkupienia, skierował przedewszystkiem oczy naszego katolickiego społeczeństwa ku sercu chrześcijańskiego świata — Citta del Vaticano. Liczne pielgrzymki, spieszące do Rzymu, z wyrazami czułej miłości i hołdem dla Głowy Kościoła, były bardzo serdecznie przyjmowane przez Papieża, który ma zawsze dla Polski i Polaków najgłębszy sentyment i najlepszą pamięć. Wogóle obserwujemy fakt coraz silniejszego zacieśniania się stosunków Polski ze światem katolickim, o czem świadczą liczne wizyty u nas, jak Prymasa Węgier, katolików francuskich, redaktorów holenderskich pism katolickich, a z drugiej strony udział Polaków w uroczystościach 250-lecia odsieczy Wiednia itd. Nutą przewodnią w tych uroczystościach jest fakt najsilniejszego związku dziejowego katolicyzmu z polskością.

Uprzytomniliśmy sobie, że nieraz już bywały „gesta Dei per Polonos", i że nieraz też Pan Bóg salwował nas z ciężkiej opresji.

Do wielkich manifestacyj religijnych, które poruszyły całe społeczeństwo, zaliczyć należy uroczystości częstochowskie ku czci królowej Jadwigi. Przeszło 150.000 ludzi obecnych na Jasnej Górze, 20.000 stowarzyszeń, 7000 parafij, które dały w sumie miljony podpisów — cóż to za wspaniały dowód, że kult dla wielkiej i świątobliwej monarchini, która Kościołowi przywiodła do wiary ostatnich pogan w Europie, a Polsce dała Litwę i Ruś i zapoczątkowała mocarstwowe jej stanowisko, odżył z niezwykłą mocą. Oto z piersi dwudziestoparomiljonowego narodu wyrwało się zgodne wołanie — prośba, skierowana do Stolicy św. o zaliczenie Jadwigi w poczet świętych pańskich, o jej wprowadzenie — według słów Ks. Nuncjusza Marmaggiego jako perły bezcennej do wspaniałego diademu świętych polskiej korony.

Poczynania beatyfikacyjne ogromnie się ostatnio ożywiły. Mówi się więc o sprawie O. Papczyńskiego, kapelana przy Sobieskim. W Krakowie rozpoczął się też proces informacyjny O. Rafała Kalinowskiego, bohatera powstania styczniowego, sybiraka, nauczyciela Augusta Czartoryskiego zmarłego in odore sanctitatis.

Mówiąc o wzmożeniu się atmosfery religijnej, trudno nie zwrócić uwagi na zainteresowanie się rekolekcjami zamkniętemi. Rekolektantów liczy się już na tysiące. Widać stąd, że katolicyzm pogłębia się w sumieniach i duszach. Swego rodzaju wyrazem gorliwości ogólnej o chwałę Bożą jest fakt, że w tej chwili mamy około pięćdziesiąt kościołów w budowie, w roku ubiegłym zaś wykończono i poświęcono zgórą trzydzieści, nie licząc kaplic. Projektuje się pozatem wzniesienie Bazyliki morskiej, która obok projektu świątyni Opatrzności, katedry śląskiej, stanowiłaby jedną z najpiękniejszych manifestacyj budownictwa kościelnego Polski odrodzonej. Sprawa świątyni Opatrzności zapowiada się przytem na rok następny korzystniej — jest możliwość zapoczątkowania jej realizacji. W każdymbądź razie ofiarność publiczna na ten okres wciąż się utrzymuje.

Do charakterystycznych zjawisk roku ubiegłego zaliczyć należy zmianę opinji w sprawie unji. Po szeregu ataków i polemik, zakończonych nawet potępieniem jednej z książek nastąpiło odprężenie. Inwektywy osłabły, do czego niewątpliwie przyczyniło się pojawienie dobrze redagowanego organu oo. jezuitów „Oriens". Na froncie prasowym mamy też do zanotowania powstanie paru nowych pism diecezjalnych, oraz próbę stworzenia pisma literackiego katolickiego.

Szereg czasopism obchodził w roku zeszłym jubileusze. „Przegląd Powszechny" — pięćdziesięciolecie istnienia, „Przegląd Katolicki — 70-lecie, „Przewodnik Katolicki" — 40-lecie. Te dwa ostatnie organy otrzymały laurki jubileuszowe ze strony oficjalnej w postaci zakazu rozpowszechniania ich na terenie szkół. Zapewne należy to policzyć na karb działalności nieurzędowych „ministrów własnego autorymentu", jak to trafnie nazwał J. E. Ks. Biskup Adamski, pedagogów masońskich, którzy na terenie szkolnictwa prowadzą politykę konfliktów z Kościołem, wbrew nieraz intencjom władz naczelnych. Jeden z tego rodzaju konfliktów, świadczących o szkodliwej robocie żywiołów wrogich Kościołowi, jaki miał miejsce w Łomży, został zaszczytnie dla Kościoła zakończony. Łomżyńskie nauczycielstwo zdecydowało się przeprosić ks. pref. Ładę, dając przez to należną satysfakcję jego stanowisku i roli, władze zaś uporządkowały stosunki w seminarjum żeńskiem.



Watykan w oświetleniu nocnem.

Niemniej przedmiotem poważnej troski, wyrażonej już w enuncjacjach Episkopatu, pozostaje nadal sprawa szkolna zwłaszcza w związku z programami nauczania. Do znamiennych zjawisk życia religijnego w kraju zaliczyć należy dalszy upadek sekciarstwa, marjawityzmu i hodurowców. Przyczynia się do tego i nasze sądownictwo, które nakazuje sekciarzom zdejmować sutanny, bezprawnie noszone a ostatnio zabrało się do zbadania nadużyć rozwodowych konsystorzy prawosławnych. Ruch wolnomyślicielski, finansowany w dalszym stopniu przez Moskwę, natomiast zdobywa się na nowe organa prasowe i występuje z bezprzykładnemi napaściami, jak n. p. sprawa przejścia na katolicyzm ambasadora japońskiego w Polsce, śp. Kawai. Napaść ta, z inicjatywy KAP-ej, znajdzie swój epilog w sądzie.

O ożywieniu katolickiego życia kulturalnego świadczy też powstanie „Ad Astra film", które ma produkować filmy historyczne i religijne („Królowa Jadwiga").

Pewnego rodzaju sukcesem katolickiego piśmiennictwa, (niestety, minimalnym wobec Boy'a, Rzymowskiego, Kaden-Bandrowskiego), jest zaliczenie do Akademji Literatury Karola Roberta Rostworowskiego, który wniesie do tej instytucji myśl katolicką. W tym roku ukazał się wreszcie ostatni tom Encyklopedji Kościelnej, zapoczątkowany przez śp. Ks. Biskupa Nowodworskiego.

Jeden z reprezentantów owych czasów, ks. kan. Roczkowski, bliski współpracownik zasłużonego ks. Z. Chełmickiego, zmarł w roku ubiegłym. Do ważniejszych spraw w archidiecezji warszawskiej należy zaliczyć powołanie do życia Instytucji Akcji Katolickiej, który zapewne już za parę miesięcy będzie mógł się przenieść do wspaniałego Domu Akcji Katolickiej — wielkiego dzieła J. Em. Ks. Kardynała Al. Kakowskiego. Wśród nominacji biskupów wymienić należy szczególnie powołanie na biskupa polowego J. E. Ks. Gawlinę, pierwszego dyrektora K. A. P., J. E. Biskupa Fr. Lisowskiego na ordynarjusza tarnowskiego. J. E. Ks. Biskupa Bardę na ordynarjusza przemyskiego, J. E. Ks. Biskupa Niemirę na sufragana pińskiego, J. E. Ks. Biskupa Baziaka na sufragana lwowskiego, oraz J. E. Ks. Biskupa Tomakę na sufragana przemyskiego.

Sumując garść tych faktów musimy raz jeszcze podkreślić, że Kościół katolicki w Polsce w roku ubiegłym przeżył wiele pięknych chwil, dokonał dużego postępu, a wiara i życie katolickie znacznie się pogłębiło.

W ostatniej niemal godzinie ubiegłego roku przybył na sukurs dogorywającej Lidze Narodów sam prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt. Wygłosił on przemówienie, poświęcone zagadnieniom polityki międzynarodowej i zaznaczył w niem, że 90 proc. ludzi na świecie pragnie pokoju, natomiast tylko 10 proc. prze do wojny. Prezydent nie wymienił kto są ci 10 procentowi militaryści, ale z różnych aluzyj wynika, że miał na myśli Niemcy i Japonję. Odnosi się wrażenie, że zwłaszcza ta druga najbardziej oddziałała na wyobraźnię Roosevelta, w myśl przysłowia, bliższa koszula ciała... A sprawa ewent. konfliktu z Japonją dla Ameryki jest już zagadnieniem wcale realnem. Władca z „białego domu" nie poprzestał na samem tylko napiętnowaniu militarystów, ale zapowiedział także podjęcie akcji, zmierzającej do wzmocnienia gwarancyj pokojowych i tu ni mniej, ni więcej wymienił Ligę Narodów, wyrażając w imieniu U. S. A. gotowość kolaboracji z genewską instytucją. Oświadczenie to jest w całym tego słowa znaczeniu wydarzeniem, jeśliby nawet miało pozostać przez pewien czas tylko papierową deklaracją i noworoczną deklamacją. Pamiętamy wszyscy, iż U. S. A., mimo że właśnie jej przedstawiciel Wilson stworzył Ligę Narodów, odseparowała się odrazu od tej instytucji pacyfistycznej, zostawiając ją swemu coraz bardziej smutnemu losowi. Gdy więc dzisiaj nad łożem złożonej ciężką niemocą Ligi konsultują wszyscy, zarówno lekarze jak i znachorzy polityki międzynarodowej, interwencja waszyngtońska jest doprawdy czemś nieoczekiwanem, nieomal jak Deus ex machina. Czy jest szczera? O tyle szczera, o ile interesowna. Jak już wspomniałem, Stany Zjednoczone mają poważne troski z powodu Japonji i wogóle Dalekiego Wschodu. To właśnie nakłania je do porozumienia z Sowietami, i to bodaj każe zlać na członki cierpiącej na reumatyzm i niedowład kończyn Ligi Narodów ów balsam kojący. Jesteśmy tedy przed perspektywą ciekawych przeobrażeń: zbliżenie się U. S. A. do Ligi, wejście do niej Sowietów, to byłyby jednak zjawiska pełne wagi i znaczenia. Co do Sowietów, te również wykazują coraz żywsze zainteresowanie genewską ostoją pacyfizmu i ogłaszają się nawet w enuncjacjach swych polityków za jednego z najpoważniejszych gwarantów pokoju. Oczywista i tu lęk o własną skórę jest przyczyną tak zasadniczej zmiany frontu głosicieli światowej rewolucji, pragnących tak przecież niedawno jeszcze rozpętać pożar wojny powszechnej. Dzisiaj Sowiety zmuszone są przejść do defenzywy i myśleć o obronie przed Japonją i przed Niemcami. Tak właśnie, przed Niemcami. Hitler przekreślił Rapallo i bodaj szykuje się do podboju Rosji, idąc na państwa nadbałtyckie, (gdzie urządza spiski baronów), w których dopatruje się granic naturalnych des deutschen Raumes. Wobec takiego dictum Sowiety w te pędy oświadczają pod adresem Polski, że wespół z nią gotowe są gwarantować całość państw nadbałtyckich. Jest to bardzo na czasie dla Moskwy, gdyż podobno Hitler zaofiarował Polsce pakt nieagresji z nadzieją zachowania przez nas desinteresement dla jego posunięć bałtyckich.

Na Zachód Niemcy rozwijają też dość aktywną politykę, opartą o negację Ligi Narodów. Ostatnia nota niemiecka, wręczona ambasadorowi Francji, nie pozostawia żadnej wątpliwości.

Niemcy są zdecydowane nie powracać do Ligi Narodów do chwili przeprowadzenia rewizji klauzul terytorjalnych Traktatu wersalskiego.

Następnie Niemcy zgodziłyby się na podpisanie paktu o nieagresji tylko w tym wypadku, gdyby zastąpił on w zupełności pakt w Locarno i gdyby zawierał zniesienie artykułów 42-go i 43-go Traktatu wersalskiego.

Inaczej powiedziawszy, Rzesza pragnie, by sama zasada sankcyj została wyeliminowana raz na zawsze i bezpowrotnie.

Z drugiej strony Niemcy chciałyby otrzymać prawo utrzymania na obecnie zdemilitaryzowanym prawym brzegu Renu garnizonów wojskowych i organizacyj obronnych. Rzesza domagać się będzie, by ta równość była zastosowana natychmiast.

W sprawie tak zwanej ciężkiej broni wojennej, Niemcy podkreślają, że jeżeli Francja jest gotowa ograniczyć liczbę tej broni w ciągu 2-go okresu własnego rozbrojenia, to Rzesza byłaby definitywnie pozbawiona prawa zaopatrzenia swej armji w broń tego rodzaju, którą posiada Francja. Niemcy będą wysuwać tezę, iż nie mogą zgodzić się na taką różnicę w ich traktowaniu.

J. St. Cz.



Konsekracja nowego klasztoru w historycznem opactwie Downside. Stoją od lewej J. E. Ks. Biskup Clifton, J. E. Arc. Birmingham i nowy przeor Dom Hicks.

ZE SZTUKI

W Zachęcie zwraca uwagę przedewszystkiem wielka wystawa pośmiertna Wincentego Drabika. Zgromadzony tu częściowo zresztą materjał daje doskonałe pojęcie zarówno o ogromnym rozmachu twórczym malarza, jak i jego genjalnej wprost fantazji. Drabik całe swe życie i całą swą twórczość oddał na służbę teatru, jako dekorator i projektodawca wnętrz scenicznych i kostjumów. Pozwoliło mu to zasmakować wszystkich stylów i epok, wszystkich manier i w każdej z nich zabłysnąć genjalnem jasnowidzeniem i artystyczną harmonją formy. Trudno nie podziwiać tej wszechstronności twórcy, tej niepojętej wprost łatwości wczuwania się w tak odrębne atmosfery artystycznych i estetycznych tendencyj. Wszędzie i zawsze Drabik pewną nieomylną ręką dotyka tematu wszędzie i zawsze czuć najwyższe napięcie twórcze, czuć pasję artystyczną, chęć wypowiedzenia się do głębi i w formie najodpowiedniejszej, najlepiej przystosowanej, najpełniejszej, najbardziej dynamicznej, zespolonej przytem z żywym, pełnowartościowym kolorytem.



Chór praskich drukarzy i chór związku akademickiego Polaków w Czechosłowacji „Jedność", który zorganizował piękny koncert reprezentacyjny pieśni polsko-czechosłowackich 9 grudnia ub. roku w sali Domu Reprezentacyjnego miasta Pragi. Koncert odbył się pod protektoratem Dr. W. Grzybowskiego, posła nadzwyczajnego Rzeczypospolitej Polskiej i Dra E. Benesza, ministra spraw zagranicznych Republiki Czechosłowackiej.

Iluż to dziełom teatru fantazja Drabika udzieliła tego kształtu scenicznego, który stanowić począł przedłużenie ich artystycznego żywota. Czyż dla przykładu można sobie wyobrazić „Don Juana" Zorilli bez dekoracji Drabika, zwłaszcza w niezatartej scenie cmentarnej. Drabik był kongenjalnym twórcą wizji teatralnej, zamykał ją w ramy dekoracyjne tak piękne i harmonijne, że zanim zaczynała się akcja, widzowie nagradzali artystę-plastyka hurganem oklasków. Niestety przedwczesna śmierć zabrała wielkiego artystę w pełni sił i twórczości.

Z TEATRU

Po przeszło dziesięciu latach mamy znów sposobność oglądania w Warszawie „Hamleta". Jest niewątpliwą zasługą teatru Kameralnego, że zdecydował się wprowadzić „księcia duńskiego" na swą scenę i że uczynił to z takim smakiem artystycznym i pieczołowitością. Reżyserja Karola Bendy, kreującego jednocześnie bohatera tragedji, wydobyła z szekspirowskiego dzieła wszystkie jego walory treściowe i teatralne.

Niewielkie ramy sceny przyczyniły się do skupienia uwagi widza na rysunku psychologicznym postaci, tło dekoracyjne zostało sprowadzone do właściwego wymiaru. Nie chcę przez to powiedzieć, by reżyser zaniedbał efektów czysto widowiskowych. Przeciwnie zarówno zjawienie się ducha ojca Hamleta, jak scena tronowa, lub scena z książką owiane były urokiem prawdziwej poezji i rzetelnej teatralności.

Ten urok wnosiła przedewszystkiem postać Hamleta. Już sama sylwetka aktora o linji szczupłej i giętkiej, płynnej i rzutkiej w ruchach stwarzała dla widza wdzięczny objekt uwagi. Reżyser z całą świadomością wyzyskiwał każdą sytuację dla podkreślenia efektów malarsko-dekoracyjnych jakie stwarzała poruszająca się po scenie, niby niepokojący znak zapytania, w czarny aksamit opięta figura Hamleta. Odrobina groteski w jej potraktowaniu w rysunku poszczególnych póz podkreślała jeszcze swoisty wdzięk, który z niej promieniował.

Ten akcent groteskowy padał zresztą razporaz i w rysunku psychologicznym postaci. O ile w kreacji Brydzińskiego, z przed lat dziesięciu w teatrze Polskim, był raczej patos pełnobrzmiący, tragiczny, o tyle Benda poszedł po linji tragikomiczności. Gdzieś w kąciku sceny i w kąciku ust bohatera czaił się stale uśmieszek niedowierzania, samobiczującego i sceptycznego. Bodaj tylko w scenie nad grobem Ofelji i scenie śmierci w pojedynku — spadła maska dobrowolnie włożonej niewiary w siebie w czystość i moc swych intencyj.

Pod czarem artystycznej interpretacji Bendy powoli wciągnęliśmy się w tragedję Hamleta. Poczęliśmy rozumieć pobudki jego zemsty nad stryjem, który zamordował mu ojca i okrucieństwa względem matki, która poślubiła mordercę. Straszliwe brzemię tej zemsty przekształciło pełne radości życie młodziana w ślepą Ananke, która na prawo i lewo zadaje mordercze ciosy. Benda znakomicie podkreślił owo przełamywanie się beztroski ze straszliwym gniotem pomsty. Hamlet, jak Samson musi zginąć pod murami, które obalił na głowy swych wrogów, jak Samson jest ślepy, oślepł duchowo i nie widzi już świata inaczej, jeno w krwawej barwie przelanej krwi.

Nie przychodzi mu to zresztą łatwo; musi się przełamywać musi przyzwyczajać dłoń do miecza, nozdrza do zapachu krwi, a duszę do szyderstwa nad pomordowanymi. Benda pokazał nam świetnie całą rozległą skalę tych przeobrażeń.

Obok Bendy wymienić należy przedewszystkiem kreacje Staszkowskiego — jako króla Horeckiej w roli królowej. Doskonale wypadły role Polonjusza i Ofelji. Każdy zresztą epizod został wycyzelowany bez zarzutu, że wspomnimy tu o postaciach Gildesterna i Rosenkranza. W sumie, widowisko dające wielką satysfakcję.

J. St. Cz.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Rzadko zdarza się człowiek tak duchowy, któryby ogołocił się ze wszystkiego.

Albowiem, prawdziwie ubogiego w duchu, i wolnego od wszelkiego stworzenia, „któż znajdzie. Daleko, i aż na ostatecznych granicach cena jego".

„Choćby człowiek dał wszystkę majętność swoję, jeszcze to niczem jest".

I gdyby odbył wielką pokutę, i to mało.

I gdyby posiadł wszelką naukę, jeszcze mu daleko.

I gdyby miał wielką cnotę i pobożność bardzo żarliwą, jeszcze mu wiele braknie; to jest braknie mu tej jednej rzeczy, która mu jest najpotrzebniejsza.

A któraż to jest? Oto, ażeby opuściwszy wszystko, siebie opuścił, i z siebie samego zupełnie się wyzuł, nic zgoła nie zachowując z miłości samego siebie.

A gdy wszystko uczyni, co wie, że czynić trzeba, niech czuje, że nic nie uczynił.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

„NIEMA ZDROWEJ GOSPODARKI BEZ WIARY WE WŁASNE SIŁY"

— Jak można mówić o oszczędności wobec dzisiejszych warunków, zmniejszających, co dnia, dochody, co gorsza, odbierających — pracę.

A właśnie dlatego o oszczędności nietylko mówić, nietylko pisać, ale w czyn ją wprowadzać należy codzień, i przy każdej sposobności.

— Z czego oszczędzać, kiedy na niezbędne potrzeby nie starcza dla siebie, a już wobec drugich zostaje sknerstwo, egoizm, sobkostwo.

Broń Boże!

Oczywiście to, co na całym świecie dziś się dzieje w pierwszym stopniu przeraża, ale obezwładniać nie powinno.

Przed paru miesiącami byłam na pięknej uroczystości, którą zorganizowała Polska Kasa Oszczędności. Było to rozdawanie nagród naszym domownicom, które, składając na książeczki P. K. O. swe zapracowane grosze, dostawały, według relacyj świadczących o ich wysiłkach w tym kierunku, nagrody, sięgające aż do 1000 złotych, dyplomy, pochwały, słowem, uczyniono wszystko co było możliwe, dla podniesienia w tym kierunku ambicyj i szlachetnego współzawodnictwa — na przyszłość. Wielką salę, którą wszyscy znamy, w nowym, pięknym gmachu Kasy, zamienioną na salon, przepełniła zaproszona publiczność, a prezes Centralnego Komitetu Oszczędnościowego Rzeczypospolitej Polskiej, dr. Henryk Gruber, uświetnił zebranie przemówieniem. Każde słowo, doskonale obejmowało przestrzeń przez megafon, i żadne nietylko nie straszyło kryzysem, ale dodawało otuchy i wiary w lepsze jutro, jakiego, w znacznej mierze, sami możemy być twórcami.

„Dotknęło nas przesilenie gospodarcze — mówił p. prezes — które nazawsze pozostanie jako przykład ciężkiego okresu życia i jego rozwoju. Okres ten jest ciężki, jako egzamin codziennej wytrzymałości, twardy — jako próba charakteru". I, właśnie na tem słusznem twierdzeniu, oprzeć należy cały nasz stosunek do — oszczędności.

Bywają rozpaczliwe położenia. Ani słowa.

Niemożność opłacania nauki za dzieci, choroby, klęski, wypływające z nieuczciwości, która pozbawia często ludzi jedynego ich mienia, nieoględnie powierzonego komuś, kto zawiódł ufność.

Ale, czyż był na świecie kiedy okres wolny od klęsk, ciosów i rozpaczy!

Każde życie je niesie i każde przeżywać mimo to, trzeba. Tyloma nićmi jesteśmy z tem życiem powiązani, tyloma uczuciami złączeni, tyloma zależnościami skrępowani, że ani go przerywać lekkomyślnie nie można, ani biernie zdać się na wolę losu — nie należy.

Więc co robić?

Walczyć. Pracować. Iść naprzebój ze wszystkiem co przeszkadza, co staje wpoprzek i wszystkiemu stawiać tę siłę ducha, jaka jest najzwyklejszem znamieniem człowieczeństwa.

„Nie wyskoki pojedyńczych fortun, nie ślepy traf", mówi nam głos doświadczonego znawcy spraw ekonomicznych, p. prez. Grubera, „lecz zdyscyplinowany wysiłek zbiorowej woli stwarzał dobrobyt, jako wykwit specyficznych właściwości charakteru danego narodu".

„Nie sam tylko humanitaryzm i daleko posunięta miłość bliźniego, lecz i dobrze zrozumiany interes daje podstawę tak zwanej współpracy międzynarodowej". A dalej mówca twierdzi, że „tylko ten naród może liczyć na utrzymanie się na powierzchni, który w sposób najlepszy i najbardziej celowy, sam zagospodaruje się u siebie".

I to, w najszerszem znaczeniu, winno być ewangelją naszych programów życiowych dla każdego indywidualnie, żeby przesiąkło w całości, stało się hasłem, potem właściwością i stałą zdobyczą — narodu.

Uroczystość, o której mowa, odbyła się w „Dniu Oszczędności", którą obchodziło 40 państw jednocześnie. Państw kiedyś beztroskich o swe materjalne zasoby, mających własną politykę i pewność swych organizacyj, ubezpieczeń od wszelkich złych przygód i... wolność.

A, oto — przyszła wielka zbrodnia światowa — wojna i — zachwiała najtęższych, zdeptała najpyszniejszych. Rozniosła zatrute tchnienie na organizm całego świata, który mocuje się z niem uparcie, a sił mu nie staje na oswobodzenie się z tego naporu. Cierpi i materjalnie i moralnie.

Ale wszystko, co się zaczyna, musi się i kończyć. Więc, byle wiary we własne siły, byle uznania własnych nieoględności, które sprawiają, że jesteśmy bez zasobów ratowniczych, byle „wytrzymałości i charakteru“, byle „harmonji między pracą i potrzebami“ to wybrniemy. Dom każdy, a w nim — wielkorządczyni — kobieta, musi dziś, więcej aniżeli kiedykolwiek, czuwać nad równowagą wydatków i przejąć się obowiązkiem choćby jednej złotówki składania na — oszczędność. Ta mała książeczka P. K. O. to najpewniejszy środek na uciszenie nerwów, na sen spokojny, i na pomoc w potrzebie, tem miłą i cenną, że idącą z własnego zrozumienia i wprowadzenia w czyn — cnoty, której nam najbardziej brak — to jest — **przezorności.**

L. Kotarbińska.

DZIELMY PRACĘ RÓWNOMIERNIE I RÓWNO CIESZMY SIĘ ŻYCIEM

— A, jak się masz? Jeszcze cię nie widziałem na emeryckim chlebie. Jakże tam?

— Dobrze! Pismo rano. Spacerek do Łazienek. Mróz oczyścił powietrze. Futerko, chwalić Boga, ciepłe. Potem obiadek, w przyrządzaniu którego, moja magnifika — mistrzyni — była zawsze, i daj jej Boże jak najdłużej będzie.. Czarna kawka — leciutka... zamiast cygarka — karmelek. Krótka drzemka. No a wieczór, jak Bóg da. Czasem ktoś zajrzy, czasem brydżyk — taniutki. Koncercik przez radjo, ulgowy bilet do teatru. Kino bliziutko, ot i chwalić Boga — dożywa się w spokoju.

* * *

— Albo ja mam czas?

— Ale przecież raz na tydzień może pani przyjść na pogawędkę.

— Raz na tydzień! pół roku nie byłam ani na koncercie, ani w teatrze, ani książki do ręki nie wzięłam. Dość pani powiedzieć, że nie mam czasu „Kurjera Warszawskiego“ przeczytać. Wstaję, prosto do biura, o 4-ej, zamiast na obiad na sesję jedną, o 5-ej na drugą, o 7-ej trzecią. Wracam do domu zmordowana, po szklance kawy, przełkniętej w drodze i w pośpiechu. Jestem głodna. Zjadam co mi dadzą. Trochę rozejrzę się w domu, w rachunkach, kąpiel i spać. Ale zanim to nastąpi jest pierwsza. To też marzę, żeby coś dobrego przeczytać, a potem, żeby się wyspać. Mimo to, jestem szczęśliwa, bo się robotę popycha, coś się buduje, coś tworzy, rośnie pod ręką, jakaś praca dojrzewa, czuje się człowiek pożytecznym.

* * *

A konkluzja?

U nas, istotnie, trochę nierównomiernie rozłożone są obowiązki, mające pracę dla społeczeństwa za zadanie i cel. Jedni „dożywają w spokoju“, inni robią bokami, wyżywają się szybko, niszczą. Marnują się często duże nawet zdolności w kierunku pracy organizacyjnej. Spotyka się ludzi niestarych, o których się mówi „on już skończony“ albo „ona już wyczerpana“.

Otóż nad tem koniecznie sami powinniśmy rozciągnąć kontrolę. Sami musimy wyszukiwać nowe siły, zaciągnąć je w szeregi. Tworzyć kółka młodszych i młodych. Nie pozwalać „emerytom“ sztucznie się starzeć. Boć skoro ich obchodzi i książka, i muzyka, i teatr, to mogą jeszcze z pożytkiem, godzinę, dwie dziennie oddać swego czasu na usługi ogólnego dobra. Tem cenniejsze, że poparte doświadczeniem — życia.

Dobre jest i zajmowanie się filantropją i sprawami społecznemi. Każdy, kto pragnie nosić miano człowieka, musi wiedzieć, że poza obowiązkami dla siebie i swej rodziny, ma obowiązki służby publicznej. Ale, zapominać także nie może i nie powinien, że dar życia jest piękny, że życie nie jest ani tylko do samego używania, ani dla samej znojnej pracy; że każdy musi z życia wyciągnąć trochę słodyczy, rozkoszy, bo to są dary Boże, których lekceważyć nie wolno.

Dzielmy więc pracę równomiernie i równo cieszmy się życiem. **L. K.**

POMÓWMY O DZIECIACH...

Spotkałam się kiedyś ze zdaniem, że „miłosierdzie jest kwestją społeczną, więc uczyć go dzieci nie trzeba“. Nie wiem jak rozumiał to ów pedagog, sądzę jednak, że gdyby postępowano w myśl jego zasad, miłosierdzie zniknęłoby ze świata, zostałoby tylko urzędowe rozdawnictwo chleba. Zapewne, że każde prawie dziecko ma kochające i dobre serduszko, ale najlepsze nawet potrafi oberwać musze skrzydełka z bezmyślności, bo nie zdaje sobie sprawy, że ktoś lub coś poza niem może czuć i cierpieć. Jeśli zobaczy obdarte, umorusane dziecko, chlapiące się w rynsztoku, będzie mu całem sercem zazdrościć tej przyjemnej zabawy, i ani mu przez myśl nie przejdzie, że temu dziecku jest chłodno i głodno, że może jest bezdomne, że może nigdy nie zaznało ciepłego uścisku ramion rodzicielskich. Miłosierdzia trzeba dzieci uczyć. I to nie przez czułostkowe roztkliwianie się nad biedą i nędzą, ale przez umiejętne zwracanie się do serca i rozumu dziecka. Trzeba je nietylko nauczyć odczuwania niedoli bliźnich, ale umiejętności przynoszenia ulgi słowem lub czynem; bo fałszywie pokierowane dziecko może roztkliwiać się nad drżącym żebrakiem na ulicy, a równocześnie bez miłosierdzia hałasować nad głową cierpiącej matce. A więc wyłania się jeszcze kwestja uwagi na drugich. I od tego powinno się właściwie zaczynać. Każde dziecko jest egoistą i uważa, że świat koło niego się obraca i dla niego jest stworzony. Czyż zresztą nie jest to samo u dorosłych — najszlachetniejszy człowiek lubi — nawet mimowiednie — mówić o sobie. Przez umiejętne trafianie do serca i rozumu, dziecko zaczyna robić niesłychane odkrycia — że inni też czują i cierpią, że można komuś zrobić wielką przyjemność malutką przysługą, a jednem słowem zranić głęboko. Przestając patrzeć na siebie, zaczyna obserwować drugich, oddaje im drobne przysługi, w części z dobrego porywu, w części z chęci pochwały — każdemu miłe są oklaski na scenie życia. Tak rozglądającej się istotce można podsuwać różne rzeczy przed oczy, uczyć ją patrzeć i rozumieć niedolę ludzką; dopomagać porywom dobrego serca, uczyć ostrożnie odróżniania prawdy od fałszu, by nie zraniło się serduszko, otwierające się do ludzi. Uczyć trzeba, że warto nieraz pomylić

się, by nie ominąć naprawdę potrzebującego. I uczyć trzeba jeszcze ciągłości miłosierdzia, bo jałmużna rzucona to jeszcze nie wszystko. Trzeba umieć ją podać i trzeba tak obliczyć, by dla jeszcze więcej potrzebujących coś zostało.

Rosnąc i rozwijając się, dziecko przyswaja sobie pomału to wszystko, a dorósłszy, staje w szranki „kwestyj społecznych", silne uczuciem i zrozumieniem.

Ewa.

FIRANKI I ZASŁONY

W licznych pismach kobiecych pojawiają się często modele zasłon do okien, kryjących wnętrze mieszkania przed wzrokiem ciekawych sąsiadów.

W starych budynkach otwierały się okna na zewnątrz, nie było więc trudności z zawieszeniem firanek, lecz w nowych mieszkaniach otwierają się przeważnie do wnętrza i biedna pani domu musi porządnie



Wzór ze starej chustki krakowskiej.

namozolić się, zanim umieści w takiem oknie pięknie haftowaną, delikatną firankę.

Można jednak wyjść z tej kolizji obronną ręką, umieszczając w oknie na pojedyńczych szybach małe firaneczki, zwane zazdrostkami. Najlepiej wykonać je na opalu, ozdabiając pięknym krakowskim haftem, który wytwornością swoją nadaje się do najbardziej wybrednych domów.

Ażeby ułatwić czytelniczkom naszego pisma sporządzenie takich zazdrostek, podajemy zasadnicze wskazówki. Podstawowym artykułem jest biały opal, szeroki na 100 cm. oraz biała bawełna z połyskiem, zwana „atłaskiem". Dotychczas najbardziej rozpowszechniana była bawełna firmy D. M. C., obecnie jednak niema jej w kraju, musimy więc używać ten towar, który pojawia się na rynku.

Do opalu najlepiej wziąć Nr. 35, ażeby haft atłaskowy pięknie wystąpił.

Opal kurczy się w praniu, musimy więc brać wymiary okna o 2 cm. większe na długość i szerokość. Przytem do szerokości dodajemy również 1—2 cm. na wąziuchny obrąbek. Długość zazdrostki mierzymy w ten sposób, że bierzemy wysokość szyby wraz z ramą i dodajemy 4—5 cm. na utworzenie obrębu, w który wsuwamy drut, do zawieszania firanki w oknie.

Zazwyczaj dół zazdrostki zdobimy bogatym haftem w zęby lub dziurki. Ażeby wygodnie było haftować, umieszczamy wzór w ten sposób, ażeby haft zaczynał się w odległości conajmniej 4 cm. od brzegu materjału.

Na fotografji widzimy piękny wzór krakowski, będący rekonstrukcją haftu na starej chustce na głowę wieśniaczki z okolic Olkusza.

Hafty ziemi krakowskiej są dosyć trudne, zwłaszcza, jeżeli wśród motywów znajdą się misterne, ażurowe „robótki". Czytelniczkom „Rodziny Polskiej", pragnącym mieć takie śliczne zazdrostki bez wysiłku,



Zazdroska do okna.

radzimy udać się do Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego w Warszawie i kupić tam takie „cudeńka". Towarzystwo to zorganizowało kilka ośrodków hafciarskich we wsiach otaczających Kraków, gdzie pracują wiejskie dziewczęta i starsze kobiety, pamiętające jeszcze wzory i robótki ze sławnych starodawnych chustek krakowskich, oraz układają wzory według własnej mody. Do Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego należy kierować wszelkie zamówienia na bieliznę stołową, pościelową, szaty i obrusy kościelne, komże i tuwalnie, suknie i wyprawy ślubne. Trzeba jednak dawać doskonałe wymiary i opis zamówienia, a z całą pewnością ręczyć możemy za doskonałe wykonanie.

Marja Stefkowa.

GŁOS GOSPODYŃ ZE WSI

Jedna z członkiń Koła Gospodyń Wiejskich ułożyła i nadesłała nam dziesięć przykazań, napisane dla jej towarzyszek pracy. Świadczą one jak kobiety wiejskie garną się do oświaty i jak poważnie i pięknie rozumieją swe obowiązki.

Brzmią one jak następuje:

Nie zabijaj w sercach swych dzieci wiary w moc Boską, która płynie od tego, który sam jest Światłością wiekuistą.

Nie obmawiaj cudzego ogniska, lecz silnie strzeż czystości swego.

Nie uszczuplaj szczęścia twym dzieciom, odmawiając im wykształcenia.

Nie mów, że jesteś bezsilna, łącz się w pracy ochotnie z innymi, bo „gromada to siła".

Przestrzegaj higjeny duszy i ciała. Ustrzeżesz się od chorób i swarów.

Gusła i zabobony znachorów odrzuć. A w razie choroby, sięgaj po radę do światłego lekarza.

Pamiętaj, że jesteś odpowiedzialna wobec Boga i Ojczyzny za moralne i fizyczne zdrowie swego gniazda.

Szanuj swą godność i nie obniżaj jej przez obojętność dla spraw ogólnych.

Nie pożądaj bogactw, lecz zdrowia i oświaty.

Nawet myślą nie służ obłudzie i kłamstwu. Dzieci miłuj, ale strzeż się słabości w stosunku do ich wad. Pamiętaj, że urabiać c h a r a k t e r y, jest twym obowiązkiem, bo tych brak najdotkliwiej odczuwać się daje w naszym narodzie.

Członkini Koła Gospodyń.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY U NAS?

Zofja Zaleska, posłanka na sejm, w artykule p. t. „Opieka społeczna i rodzina" dopomina się otoczenia opieką tej komórki organizmu społecznego, której zdrowy rozwój stanowi o równowadze w rozwoju całego narodu. Usuwanie matek z posad zarobkowych dlatego, że są mężatkami, żonami ludzi, których wynagrodzenia nie są w stanie zaspokoić najkonieczniejszych potrzeb, zwłaszcza, o ile są dzieci, to godzenie w ustrój rodziny.

Zofja de Callier pisze w „Kurjerze Warszawskim" (Nr. 7 r. b.) „O szkolnictwie zawodowem", omawiając rzeczowo tę tak bardzo ważną sprawę dla dzisiejszego pokolenia. Sięga, w doskonale opracowanym artykule, szkolnictwa zawodowego u nas z przedwojennych czasów. Kładzie nacisk na konieczność zwiększenia poradni zawodowych. Dotyka wszystkich specjalności w kierunku pracy zawodowej. Kończąc swój arcyzajmujący szereg uwag o szkolnictwie zawodowem, poglądem na szkolnictwo handlowe w Polsce, jako bardzo ważnej u nas, a niedostatecznie docenianej placówki. — Artykuł ten, ze względu na jego żywotność — powinien właśnie zwrócić uwagę rodzin polskich.

Panie Domu, stanowiąc związek, utworzony w Warszawie, a jeden z najczynniejszych, wśród czynnych, drukują na ośmiu stronicach **Odezwę,** w której **żądają** wszystkiego, co nie objęte należytą opieką i ładem, „godzi w budżet rodziny, szczególniej najbiedniejszych mieszkańców stolicy". Pragną: „poruszyć opinję publiczną mieszkańców stolicy i zwrócić myśli i usiłowania do naprawienia obecnego stanu rzeczy i chaosu, jaki panuje na rynku artykułów spożywszych". Odezwę dostać można, **a dostać trzeba i przeczytać należy,** w siedzibie Związku Pań Domu, Nowy Świat 9.

„Ruch Kobiecy", miesięcznik młodzieży narodowej, wychodzi we Lwowie. Ostatni numer zamieszcza doskonałe artykuły Marji Śliwińskiej-Zarzyckiej, posłanki Zofji Zaleskiej, daje przegląd z życia organizacyj kobiecych w kraju i zagranicą. Ruchliwa redakcja zapewnia pismu powodzenie.

„Ziemianka Polska" przynosi liczne artykuły w sprawach społecznych, oświatowych i organizacyjnych. Artykuł „Przy opłatku" i „Święta" — Jadwigi Jankowskiej, utalentowanej autorki powieści „Zmartwychwstaniecie młodzi", oraz artykuły gospodarcze, głosy instruktorek kół włościanek, młodych ziemianek i komunikaty sekcji oświatowej.

Kursy dla sokolic organizuje ruchliwa dzielnica poznańska. Ostatnio odbyty kurs w okręgu inowrocławskim objął, prócz ćwiczeń gimnastycznych, wykłady z zakresu historji sokolstwa i organizacji sokolic, obrony przeciwgazowej, anatomji i higjeny, ratownictwa, praktycznych rad gospodarczych. Pozatem przeprowadzono wykłady z zakresu systematyki oraz prowadzenia grup dziecięcych, gry i zabawy, rytmikę i pląsy, ćwiczenia zlotowe, pogadanki techniczne. — Dzięki coraz rozszerzanym programom kursów, sokolice wielkopolskie rozporządzają znaczną ilością przeszkolonych druchen, które umiejętnie prowadzą pracę w gniazdach i wpływ dodatni wywierają na swoje środowiska domowe.

A CO ROBIĄ NASZE KOBIETY ZAGRANICĄ

P. Jadwiga Toeplitz-Mrozowska, wielka artystka, chluba scen polskich, po wyjściu zamąż osiadła we Włoszech. Warunki wybitnego stanowiska, nie zatarły w tej niepospolitej kobiecie jej wyższych umiłowań. Odbyła po długich przygotowawczych studjach wiele podróży na Wschód. Dotarła do niedostępnych zaułków fantastycznych terenów Pamirów, skąd dla Włoch przywiozła przez siebie odkrytą „Dolinę Włoską", składając ją wodzowi Mussoliniemu. A w ostatnich chwilach dochodzi nas echo jej odczytu który świadczy o tem, że p. Toeplitz-Mrozowska, będąc lojalną obywatelką włoską, nie przestała być Polką, obierając sobie do wygłoszenia temat nam drogi a dla obcych ciekawy, dając mu tytuł **„Cud nad Wisłą".**

Prasa włoska daje obszerne i entuzjastyczne sprawozdania z odczytu p. Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej, jaki miała na zaproszenie T-wa „Dawnej kultury" w auli uniwersyteckiej, na posiedzeniu pod przewodnictwem sen. Menozzie'go.

Referenci podkreślają, że odczyt o „Ostatniej bitwie, która rozstrzygnęła o historji świata", t. j. o cudzie nad Wisłą, był wygłoszony z wyjątkową swadą (con elette parole), a przysłuchiwał się korpus dyplomatyczny, przedstawiciel Polski i dobór towarzystwa włoskiego (e un foltissimo pubblico).

Po wstępie o 1914 roku przeszła p. Mrozowska na dzieje 1918 roku i ogłoszenie niepodległości Polski. To było jednak zarzewiem nowej wojny z Sowietami. Tu prelegentka rozwija temat omawiany na mapach, czem udostępnia go słuchaczom. Opisuje wielkie zmagania się, które się rozciągnęły od Dynaburga, aż po Kijów, na froncie przeszło tysiąc klm. długim. Potem przyszła kontrofensywa rosyjska, która doprowadziła do niespotykanej w historji bitwy, jaka się rozegrała nad Wisłą.

Tu prelegentka nakreśliła plan strategiczny, który wyszedł od generalissimusa Piłsudskiego, który dowodził linją od Warszawy po Lwów, podczas gdy nad Wieprzem i od fortecy Modlina dowodził gen. Sikorski. Pani Mrozowska potrafiła w tem miejscu nakreślić wymownemi słowy (e commovento parole) tragiczne położenie pod Warszawą, gdy jedyny ratunek był w Bogu W tych chwilach trwał na stanowisku nuncjusza, przy boku Polski w jej stolicy Achilles Ratti, który patrzył się jak na front szli starcy, dorośli, młodzież i dzieci, bronić zagrożonej Ojczyzny. Nie brakło i legjonu kobiecego, pod wodzą nieustraszonej p. Zagórskiej. Młodzież ochotnicza szła pod bohaterskim porywem księdza Skorupki, który dał bohatersko życie (l'eroica morte del loro condottiero).

Tak obroniona została Warszawa i Polska i cała Europa, odpartych zostało 21 dywizyj bolszewickich i tak się stał „Cud nad Wisłą" — il miracolo della Vistola. Ona to obroniła Europę przed komunizmem obroniła nasz dorobek cywilizacyjny.

Nakoniec prelegentka poruszyła ostatnie posunięcia polityki sowieckiej, porozumienie z Waszyngtonem, z Włochami i z Polską, co może dać podwaliny długiej erze pokoju powszechnego (una lunga era di pace).

Odczyt p. Mrozowskiej został nagrodzony żywemi, dobrze zasłużonemi oklaskami (una fervida ovazione) — pisze sprawozdawca. My — dodajemy, że p. Mrozowska dobrze się zasłużyła sprawie polskiej.

P. Glinicka, kierowniczka działu polskiego sztuki, na wystawie w Amsterdamie, którą zorganizowało „Stowarzyszenie Międzynarodowe Kobiet Pracujących", zgromadzając tylko dzieła kobiet, nadesłała szereg szczegółów dla sprawozdawcy „Kurjera Warszawskiego". P. J. K., świadczący o niebywale gorącem przyjęciu przez prasę holenderską twórczości naszych malarek. Imiona: Zofji Stryjeńskiej, Zofji Hankiewiczówny, Pii Górskiej, Z. Pruszkowskiej, I. Umińskiej, I. Pietkiewiczowej M. Krzyżanowskiej, Olgi Boznańskiej, B. Krasnodębskiej-Gardowskiej, Wysockiej, J. Łuczyńskiej-Szymanowskiej, Leokadji Bielskiej, J. Konarskiej, głowa Marji Skłodowskiej-Curie w rzeźbie p. Nitschowej, artystek wszystkim nam dobrze znanych, świetnie zaprezentowały sztukę malarską kobiet w Holandji, krainie wielkich mistrzów.

O CZEM WIEDZIEĆ TRZEBA?

Wiedzieć koniecznie trzeba, że Związek Pań Domu, Nowy Świat 9, organizuje różne kursy, złączone ze sprawami naszej domowej gospodarki, mając za zadanie niesienia nam pomocy w jej ulepszaniu. Dlatego ze wszelkiemi w tej dziedzinie wątpliwościami do „Pań Domu" meldować się należy.

Wiedzieć trzeba, że Walne Zebranie Sekcji Kobiet L. M. i K. odbędzie się w końcu lutego. Pisma codzienne datę ustalą.

Wiedzieć należy, że Chrześcijański Związek Rękodzielniczek „Dźwignia" w nowej siedzibie przy ulicy Zgoda 6, przyjmuje wszelkie zamówienia na bieliznę, kołdry, fartuchy, które wykonywa starannie po cenach bardzo niskich.

Wiedzieć trzeba i objaśniać należy, że zasiłki rodzinom powołanych na ćwiczenia wojskowe wypłaca wydział wojskowy zarządu miejskiego.

Wiedzieć trzeba, że lód naturalny bywa często źródłem chorób, bo czerpany nie zawsze z czystych źródeł. Lepiej kupować sztuczny.

WEZWANIE DO SZAN. NASZYCH CZYTELNICZEK.

Dzieci nasze garną się do nauki. W szkołach średnich i zawodowych pełno młodości żywej, jasnej, chętnej do przyjęcia skarbu wiedzy. Tymczasem coraz cięższe warunki materjalne, nie pozwalają na termin ogłaszać wpisów. Niech każdy, komu polskie dziecko drogie, dąży z ofiarą natychmiast. Dwa razy daje, kto szybko daje. Składajmy grosze, ale składajmy wszyscy na umożliwienie dzieciom naszym nauki. Niech troska nie płoszy pogody z ich czoła. Niech idą w świat z tą myślą — że nie zmalały serca wśród nas. Że młodzież naszą kochamy, że pomoc jej niesiemy chętnie, że nietylko pragniemy, aby się uczyła, ale czynem stwierdzamy zrozumienie ważności czasu — na naukę przeznaczoną. Z małych datków, złożą się sumy na opłacenie wpisów szkolnych, na co czekają dzieci, i z bijącem niespokojnie sercem i ich rodzice.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Wandzie Orc. w Skale. Wszystkiemi informacjami dotyczącemi L. M. i K. zawsze najchętniej służyć pragniemy. Słusznie, że Sz. Pani wcześnie zajmuje się organizowaniem wycieczki zbiorowej nad Morze. Ostatnie okólniki Okręgu Warszawskiego, zawiadamiają nas, że w Gdyni założone jest przedstawicielstwo biura Zarządu Głównego, którego kierownikiem jest p. Jan Bartoszczyk z Gdańska, członek Rady Głównej Ligi. Obszerne wskazania w tym kierunku damy w przyszłym numerze „Rodziny Polskiej". Nasz adres niezmieniony Warszawa, Widok 10. L. M. i K., Sekcja Kobiet.

P. M. W. w Ciechanowie. Wszystkie pisma nasze: „Przegląd Katolicki", „Posiew", „Rodzina Polska", „Królowa Apostołów" i „Mały Apostoł", są wydawnictwem Księży Pallotynów. Cieszą się uznaniem odbiorców i ceną niską, zdobywają coraz większą liczbę prenumeratorów. Redakcja „Rodziny Polskiej" serdecznie Pani jest wdzięczna za dobre słowa, jakie jej Pani łaskawie przesłała.

Dnia 25 stycznia 1934 r. odbyło się w Centrali PKO. w Warszawie 20-te z rzędu losowanie książeczek na premjowane wkłady oszczędnościowe Serji II.

Po zł. 1000. — otrzymują właściciele następujących książeczek:

50794 51536 52035 53278 54137 54533 56179 56573 56893 57216 58007 59019 61312 61443 61507 62177 62967 63796 64057 64622 64759 65803 66023 67231 67550 68563 68639 69315 69869 71930 72790 73573 73738 73829 73854 74613 75157 75508 75646 76109 76896 77720 78744 79499 79607 79687 79978 80814 82378 84420 85507 86612 87079 87547 87988 88224 88644 89307 90036 91225 91988 92124 92215 92921 93140 93707 93865 94345 94506 94861 95113 95410 95509 96181 96499 96552 96853 98573 99286 99309 99392 99838 100183 100372 100828 101326 102175 104611 104826 105189 105411 105523 105589 105707 105750 107005 107053 I07412 107712 107806 107850 108120 108192 108743 108809 108861 111133 111899 112231 1I3208 II3299 II3499 II3693 113799 113882 114469 115145 115177 115633 1I5873 II59I7 116031 116360 116408 116596 116833 117500 1I7823 II7835 II8122 118183 118280 118401 118962.

Książeczki Serji II-ej poprzednio wylosowane a dotychczas nie podjęte NNry: 68662 102048.

KĄCIK DLA DZIECI

MYSIKRÓLIKI.

Wśród ciszy zimowej, przerywanej tylko świstem wichru lub wyciem wilków, milkną wszystkie głosy ptaszęce — cisza w puszczy. Nagle ze splątanych krzewów leszczyny, dzikiego bzu i jałowca odzywa się głos ptaszęcy i to nie byle jakie ćwierkanie — śpiew przypominający głos kanarka. Cóż to za ptak śpiewa tak wśród zimy i mrozu? Musi być duży i silny. Wcale nie, te trele wywodzi ptaszeczek malutki, 4 cale zaledwie mający, ale zato bardzo czupurnie wyglądający, cały rdzawo brunatny, w poprzeczne ciemniejsze pręgi, z krótkiemi skrzydełkami i bardzo krótkim, zadartym ogonkiem. Siada na gałązce, zadziera długi dziobek do góry i, oglądając się na wszystkie strony, śpiewa zawzięcie. W tem sucha gałąź trzasnęła — śpiewak umilkł i znikł nagle z oczu. Gdzież schował się, nie odleciał przecież? Nie, nie odleciał, bo latać nie lubi, za krótkie ma bowiem skrzydełka, ale zato chować się umie cudownie, w korzenie splątane, w dołek na ziemi, pod suchy listek, przez najbardziej splątane gałązki prześlizguje się z łatwością. To strzyżyk — ptaszek pożyteczny, dzięki swemu małemu wzrostowi mogący wślizgnąć się w najmniejszą szparkę i obierać gałązki ze szkodliwych owadów, ich jajek i poczwarek. Zwą go też „dużyludkiem" lub mysikrólikiem. Ta nazwa jednak niesłusznie mu przysługuje, bo prawdziwy mysikrólik jest jeszcze mniejszy od niego, najmniejszy z naszych ptaszków śpiewających. Od strzyżyka różni się on nietylko wielkością, ale i całą postacią. Jest smuklejszy, ma ogon i skrzydła dłuższe, zdatniejsze do lotu, dziobek krótki, cienki i ostry. Na grzbiecie oliwkowo-zielony, pod spodem białawo-brunatny, na skrzydłach dwie białe przepaski, na głowie zaś pomarańczowa łatka ze złotemi brzegami, dlatego też nazywają go „złotogłówkiem" albo „wolem oczkiem". Bardzo podobny do niego jest trzeci maluteńki ptaszek — Zniczek, bardziej tylko żółtawe mający upierzenie i ognisto-czerwoną łatkę na łebku zamiast pomarańczowej. Tego jednak spotykamy najrzadziej, woli on lasy południowe. Zato Strzyżyk i Złotogłówek są u nas bardzo pospolite i tylko dzięki swemu małemu wzrostowi i łatwości ukrycia się uchodzą oka ludzkiego. Strzyżyk śpiewa zwykle bliżej ziemi, bo woli biegać niż latać, złotogłówek wysoko na gałęzi wyciąga swe trele, obaj zostają u nas na zimę, a że są towarzyskie, więc gdy jeden zaczyna śpiewać, zbiera się ich cała gromadka i przyśpiewuje wesoło, mimo mrozu i zimy. Podskakują przytem, kiwając łebkami i mają tak zadzierzyste miny, jakby świat cały do nich należał. O miłym tym ptaszku jest taka opowieść: Gdy ptaki chciały wybrać sobie króla, zebrały się na wiec i uradziły, że ten ich królem zostanie, kto najwyżej wzniesie się w powietrze. Prześcignął wszystkich orzeł i, gdy dumny, że zwyciężył współzawodnika zatrzymał się w powietrzu, usłyszał ponad głową wesołe świergotanie, zdziwiony spojrzał, nad nim unosił się maleńki ptaszeczek i ćwirkał z zadowoleniem: A ja wyżej od ciebie! — Jakże to się stało? Oto, gdy zawodnicy wznieśli się w powietrze, na plecy orła wskoczył niezauważony przez nikogo mysikrólik — i dopiero w powietrzu zerwał się do lotu ponad głową orła. Zagniewany tym podstępem orzeł, chciał ukarać małego przestępcę, gonił go długo i wytrwale... ale mysikrólik schował się w mysią jamkę i drwił ze swego prześladowcy. Czekaj — zakrakał rozzłoszczony orzeł — siedź w swej jamie, aż z głodu zginiesz. I postawił na straży sowę, sam bowiem śpieszył się na wiec, by jak najprędzej zostać królem ptaków. Ale sowa — że to w dzień było — zdrzemnęła się trochę i mały więzień, wyślizgnąwszy się, zjawił się właśnie w chwili obioru króla, i głośnem ćwierkaniem dopominał się o swe prawa. Cóż było robić, trzeba go było jakoś ukoronować — nazwano go więc mysikrólikiem, jako że się chował w mysiej jamie. Zadowolił się tym tytułem i nie przeszkadzał już w koronacji orła. Najgorzej na tem wyszła sowa — bo wszystkie ptaszki kpią z niej do dziś dnia i wyśmiewają jej ospałość. — Miły to ptaszek i wesoły ten mysikrólik, niech nikt jednak, zachwycony jego śpiewem, do klatki go nie chwyta — ginie odrazu w niewoli.

H. Rostafińska-Choynowska.

NA ŚNIEGU

A na tym białym śniegu
Wesoło, wesoło,
Rączkę daj lewą, prawą,
Obrócim się wkoło.
Kto się w pędzie przewróci
Nic mu się nie stanie —
A na śniegu tylko ślad
Niezgrabny zostanie.

Tupu, tupu, nóżkami
A ciepło nam będzie,
Mróz nas szczypie w policzki,
Gil na nosku siędzie.
Hejże ha, hejże ha!
Dalej w koło jak się da!

H. R. Ch.

BILETY WIZYTOWE

1. C. E Z U Ń.
2. R. L A Z A M.
3. Z. F O R E S.

Przestawiając odpowiednio litery nazwiska, dowiecie się czem się trudni właściciel biletu wizytowego.

H. R. Ch.

Wydawcy: Stowarzyszenie Mis. Księży Pallotynów. Redaktor: Józef Czarnecki.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.



ROZRYWKI UMYSŁOWE



POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

I. KONKURS KWARTALNY

(Ciąg dalszy).

Termin nadsyłania zadań trzytygodniowy, licząc od daty otrzymania numeru.

5. LOGOGRYF WE WIERSZU.

(5 pkt.)

Dzisiaj na świecie
są ciężkie **trzynaste**,
I **pierwsze** nasze
napełnia zwątpienie,
Smutek ogarnia
męża i niewiastę,
Na twarzach **siedem**
wyryte cierpienie.
Ale na duchu
trzecie nie należy,
Bo w **jedenastej**
ta moc się znajduje.
Która do szczęścia,
dziewiąta wskazuje
Temu, co w Boską
sprawiedliwość wierzy.
Jak kwiat **dziesiąty**
na wiosnę rozkwita,
Choć go niebacznie
nieraz **piąte** kosa,
Jak ta dziewczyna,
co **druga** i bosa
Okruchy szczęścia
radośnie powita, —
Tak ta, co w **rzędzie**
środkowym się mieści,
Pełna uroku
i pogodnej treści
Błogi **dwunasty**
roztacza dokoła
I jako matka
swoich **szóstych** woła.
Ten **czwarte** szczęście,
co ją szczerze kocha,
Co jej swój **ósmy**
poświęca w ofierze —
Bo ona matka
jest, a nie macocha,
Wszystko oddaje,
nic w zamian nie bierze!

Sylaby: bo — ca — cza— dać — dro — du — ga — gę — kój — le — na — nów — ny — pa — pał — po — po — pol — ser — sta — sy — sy — szy — ści — u — za — zna.

„Maciej z Pomorza“ (czł. Kl. Sz.)

5. LOGOGRYF W FIGURZE.

(5 pkt.)



W kratki figury należy wpisać litery, aby powstało 14 wyrazów siedmioliterowych w rzędach poziomych, wedle podanych niżej znaczeń. Litery pionowych rzędów: pierwszego i czwartego, z góry na dół po kolei odczytanych, dadzą rozwiązanie, które podać można bez wyrazów pomocniczych.

Znaczenia wyrazów:

1. Wytwórnia monet i medali.
2. Zbiorowa nazwa wysp na Oceanie Spokojnym.
3. Las dębowy.
4. Mieszkanka Laponji.
5. Imię męskie w 2 prz.
6. Wędrownik (wycieczkowicz).
7. Gat. wierzby długolistnej.
8. Stan Ameryki półn.
9. Imię żeńskie.
10. Zniekształcenie utworu w poetyce.
11. Inaczej: rozpapla (rozpowie).
12. Zniżanie brzegów przez fale morskie.
13. Linja łącząca dwa końce łuku.
14. Córka Minosa, wybawicielka Tezeusza z labiryntu za pomocą kłębka nici.

A. Mieczkowski czł. Kl. Sz.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ IV KONK. KWART. 1933.

zamieszczonych w nrach październikowym, listopadowym i grudniowym „R. P.“, na które złożyły się następujące zadania (z wyszczególnieniem ilości punktów za rozwiązania):

1.	Szarada („Maciej z Pomorza“)	4
2.	Arytmograf (W. Nowicki)	6
3.	Szarada („Anda“)	3
4.	Anagram (J. Kowalska)	3
5.	Kalambury (C. P. Pągowski)	2
	(A. Mieczkowski)	2
6.	Szarada („Spart“)	3
7.	Logogryf (J. Nieć)	4
8.	Logogryf („13“ z Poznania)	4
9.	Krzyżówka („Jur-Jan“)	3
10.	Logogryf (Z. Ptaszyńska)	4
11.	Szarada (H. Mokrzycka)	4
12.	Zagadka (W. Gasperski)	2
13.	Kwadr. mag. („Jur-Jan)	5

Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosiła zatem: **49.**

1. SZARADA:

„Za mało żniwiarzy“.

2. ARYTMOGRAF:

I. Polska była, jest i będzie grodem i przedmurzem dla Chrześcijaństwa całego.
II. Dwunasty wrzesień był rocznicą miłości i ofiary Polski dla religji Chrystusa.

(Wyrazy: 1: Gopło, Wigry, Necko,
2: Krowa, goryl, suhak,
3: Boleń, aloza, dorsz,
4: Arsen, dydym, krzem,
5: Lukka, Brema, Ateny,
6: Stach, Romek, Cesko.
7: Rybik, ściga, mucha.
8: Krypa, kaper, awizo.
9: Wołga, Sarpa, Jajwa.
10: Bragi, Syzyf, Diana.
11: Kajka, Stefa, Mańka.
12: Hjena, wydra, łasza.
13: Jasło, Łomża, Mątwy.
14: Netta, Słucz, Mątwy.
15: Chios, Paros, Anafi.
16: Weber, Bizet, Zichy.
17: Mięta, mlecz, agawa.
18: Dudek, remis, gołąb.
19: Bezzi, Gudin, Neefs.
20: Śliwa, melon, pigwa.
21: Ewers, Twain, Scott.)

3. SZARADA:

Róże jesieni.

4. ANAGRAM:

Głodnemu chleb zawsze na myśli.

5. KALAMBURY:

1. Oboje. — 2. Lewkonja.

(Nadesłane rozwiązania 1 kalamburu: Smyki, bębny, fujary lub trąby, — przyjęto jako trafne).



6. SZARADA:

Święto Niepodległości.

7. LOGOGRYF:

8. LOGOGRYF:

9. KRZYŻÓWKA:

(zobacz rysunki u dołu wykonane przez p. N. K. Kozłowskiego.)

10. LOGOGRYF:

Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi.

(Wyrazy lewe: — bawół, kośba, Warta, próba, puder, bonza, proso, zecer, winda, plewy, tajga, Racza, eliza, poseł, puzon, szych. — Prawe: — argon, małża, Brody, ruszt, arsen, Udine, pręga, proto, Troki, rezon, pęcak, ochra, groza, model, kozak, oliwa).

11. SZARADA:

Boża Dziecina.

12. ZAGADKA WZROKOWA:

Zapowiedzi.

13. KWADRATY MAGICZNE:

I: Karo, arak, rama, okap.
II: Pora, opad, rasa, Adam.
III: Mata, atom, toru, Amur.
IV: Nora, omen, rels, ansa.
V: Kura, ugor, rota, arab.
VI: Kosa, osad, rala, Adaś.
VII: Lora, opas, rata, asan.
VIII: Rosa, oset, seja, atak.
IX: Kort, opar, rana, tran.

(Listę uczestników i wynik losowania podamy w nrze następnym).

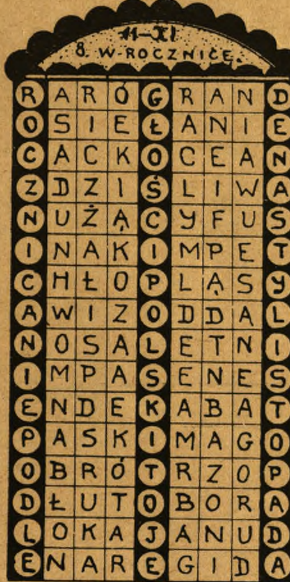
SKRZYNKA POCZTOWA.

WP. Król K. Kielce. Cieszymy się z „nawrócenia“ Sz. P. i polecamy dział nasz stałemu zainteresowaniu. Wyrazy zaś jak: autodydaktyka, intelekt, metaloid, łatwo znaleźć można w słowniku M. Arcta przez szaradzistów najwięcej używanym.

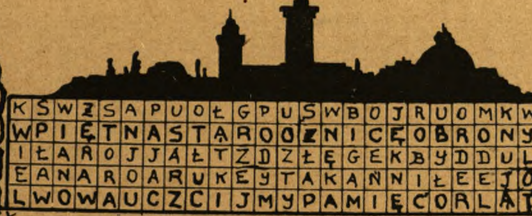
M. Sł.

SPROBUJ

zaglądnąć do „ROZRYWKI“ ile ciekawych szarad i zadań zawiera numer 14 (lutowy). Kwartalna prenumerata tylko 2 zł. Konto PKO. Nr. 2048. Adres: Klub Szaradzistów, Warszawia, Żórawia 45 m. 10. Pojedyńcze numery do nabycia także w kioskach „Ruchu“.







ZE ŚWIATA RADJA

Odbiornik bateryjny i jego obsługa.

Posiadacze odbiorników bateryjnych wiedzą dobrze z praktyki, że obsługa odbiornika bateryjnego przysparza im dużo kłopotów i kosztów. Dzieje się to przeważnie dlatego, że odbiornik bateryjny wymaga pewnej dozy pieczołowitości i znajomości rzeczy od swego posiadacza, aby mógł pracować nienagannie i aby koszty eksploatacji tego odbiornika były jak najmniejsze. Poniższe uwagi mają na celu zebranie najprymitywniejszych zasad i wskazówek, pozwalających posiadaczowi odbiornika bateryjnego na uniknięcie nadmiernych kosztów osiągnięcia i zadowolenia z dobrego i czystego odbioru.

Odbiornik i głośnik.

Obsługa odbiornika bateryjnego poza lampami i baterjami jest bardzo prosta i łatwa: Wystarcza pamiętać o należytem włączaniu do baterji sznurów idących do odbiornika od każdej baterji zasilającej, następnie o należyty kontakt i czystość wszystkich połączeń z anteną, uziemieniem, lampami (kontakty podstawek lamp i nóżki lamp) i wreszcie o należytem zainstalowaniu anteny i uziemieniu. Ważną jest rzeczą, aby głośnik, połączony z odbiornikiem, miał z nim zawsze dobry kontakt, t. j. aby sznury prowadzące do głośnika nie były poskręcane i poplątane, lecz zawsze starannie prostowane, oraz, aby wtyczki od sznura głośnika miały dobry kontakt z odpowiedniemi gniazdami w odbiorniku. Należy również zwrócić baczną uwagę, by głośnik nie był przeciążony, t. j. by do słabego, lekkiego typu głośnika nie była użyta silna i wielka lampa głośnikowa, co niechybnie odbije się ujemnie na pracy odbiornika. Nie powinno tu także zachodzić zjawisko odwrotne, t. j. duży głośnik powinien być przyłączony do odbiornika posiadającego słabą lampę głośnikową. Odkurzanie co miesiąc kondensatorów obrotowych i sprawdzanie kontaktów powinno do konserwacji odbiornika zupełnie wystarczyć.

Z notatnika radjoamatora.

Główną przyczyną niestosowania radjoodbiorników w samochodach było powszechne zdanie o konieczności zastosowania dłuższych anten masztowych oraz konstrukcyjnie skomplikowanych odbiorników. W praktyce jednak okazał się dla samochodów nadspodziewanie odpowiednim zwykły lampowy odbiornik o bardzo krótkiej antenie, zapomocą którego osiągnięto doskonałe wyniki.

Można bowiem przy pomocy 2—3 lampowego odbiornika o jednym obwodzie dostrajanym, oraz przy pomocy drutu, umieszczonego jako antena w przedniej części nadwozia uzyskać podczas jazdy odbiór stacyj oddalonych od miejsca odbiornika na kilkaset kilometrów. Oczywiście w czasie postoju zasięg ten jest o wiele większy, tem większy, gdy się zastosuje do odbiornika dodatkowo uziemienie — czyli kawałek linki antenowej, zaopatrzony na końcu w ostro zakończony pręt żelazny, który wbija się w ziemię tuż przy samochodzie.

Ponieważ wielka ilość samochodów posiada system zapalania dołączony do podwozia działanie świec przeszkadzałoby silnie odbiorowi. Dlatego też nie można podwozia wykorzystywać jako przeciwwagi (uziemienia) do odbiornika. W samochodach krytych można stosować jako antenę linkę antenową (linka siedmiożyłowa fosforbronzowa) na czterech podpórkach z izolatorami wkręconych w narożnikach dachu nadwozia. Bardziej skomplikowanie przedstawia się zakładanie anteny w samochodach odkrytych, gdyż w tym wypadku może ona być umieszczona jedynie w dolnej części samochodu.

Pozatem zaznaczyć należy, że użycie akumulatora samochodowego, jako źródła prądu dla odbiorników, nie jest wskazane, ponieważ podczas pracy silnika powstałyby te same zakłócenia, które występują przy zastosowaniu podwozia, jako przeciwwagi. Zasilanie części odbiornika prądem odbywa się z oddzielnych bateryj, (mały akumulatorek i 60-voltowa baterja anodowa), które można umieścić pod siedzeniem.

Zmiany w budowie kondensatorów stałych.

Dotychczas stosowano kondensatory stałe, stosując w nich jako dielektryk parafinę. Ostatnio przeprowadzono badania z kondensatorami w których zamiast parafiny, była zastosowana masa, składająca się z produktów chlornaftaliny. Produkt ten ma w porównaniu z parafiną tę zaletę, że posiada wyższy punkt topliwości, a zwłaszcza wyższą stałą dielektryczną, która pozwala budować kondensatory o tych samych elektrycznych właściwościach, lecz o mniejszych wymiarach.

Doświadczenie z anteną podziemną.

Prasa zagraniczna donosi o próbach przeprowadzonych z podziemnemi antenami przez radjoinżynierów. Na podstawie dotychczas osiągniętych wyników są oni zdania, że w przyszłości znikną przewodniki napowietrzne, stosowane dotychczas, jako anteny stacyj nadawczych. Podziemna antena składa się z 4-ch kabli każdy o długości 15 metr. Kable te są rozłożone w ziemi na głębokości 1 metra w rurach o średnicy około 40 cm., prowadzonych w 4-ech kierunkach. Gdy np. ma być nadana korespondencja w kierunkach południowych, wówczas jest używany kabel założony w tym kierunku itp.

Doświadczenia wykazały, że bez uszczerbku dla wyrazistości i siły dźwięku można nadawać sygnały stosunkowo małą mocą, przyczem fading (chwilowe zanikanie odbioru) jest znacznie mniejsze, aniżeli przy zwykłych urządzeniach antenowych.

Przy podobnych próbach przeprowadzonych między Francją i Ameryką stwierdzono że fale elektromagnetyczne (radjowe) nie rozpowszechniały się, jak to dotychczas przypuszczano z szybkością 30.000 km. na sekundę, lecz z szybkością conajmniej o 10 proc. mniejszą. Z tych przyczyn należy przypuszczać, że fale elektromagnetyczne, wysyłane przy pomocy podziemnej anteny, nie rozchodzą się w eterze, lecz w ziemi.

Radjo powszechnem zjawiskiem.

Stwierdzone, że na kontynencie amerykańskim radjo jest tak powszechnem zjawiskiem, że trudno tam dziś o miejsce lub porę — wolną od radja.

Już radjostacje portowe nad brzegiem oceanów, sygnalizują przybyszowi wyjątkowe stanowisko radja w Nowym Świecie. Stacje brzegowe nadają przedewszystkiem informacje komunikacyjne; czas przybycia i odejścia okrętów, ich nazwy, tonaż przywieziony lub odpływający, ważniejsze zdarzenia na okrętach i w porcie, ważniejsze przepisy i zarządzenia na dany dzień, a nierzadko nazwiska przybyłych lub odpływających podróżnych. Inny dział informacyj, miejsc rozrywek itp.

Nic dziwnego, że w tych warunkach radjo stało się w Ameryce czemś nieodzownem, równie czemś nieodzownem, jak dzienniki, które radjo uzupełnia w nadawaniu informacyj najkrótszych, odsyłając zawsze do dzienników po szczegóły. W ten sposób radjo, którego w Ameryce słucha 30.000.000 osób, tj. bezmała tyle, ile jest w Polsce całej ludności, jest niezbędnem uzupełnieniem obsługi prasowej.

Dwunasto parowy kabel sycylijski.

Jak donoszą z Rzymu, w całej Italji prowadzi się obecnie wielką sieć specjalnego kabla radjowego, która połączyć ma 10 radjostacyj italskich na półwyspie t. zw. „buta apenińskiego" z wyspą sycylijską. Kabel jest wprawdzie jedno-linijnym przewodnikiem, ale wewnątrz swych licznych zabezpieczeń izolacyjnych rozpada się na 12 par kabla, odzielonych od siebie izolacją. Jest to zatem kabel 12-parowy. Wąż tego przewodnika radjowego wychodzi z Palermo na Sycylji, biegnie przez wyspę, cieśninę w Messynie, gdzie zanurza się w morze, aby wynurzyć się znowu na półwyspie Apenińskim w następujących odgałęzieniach: do Bari, Neapolu i Rzymu na południu, oraz: Bolzano, Triestu, Florencji, Medjolanu, Genui i Turynu na północy kraju. Roboty około zakładania kabla w tej chwili, jeszcze trwają.

Szukamy 60.000 radjopajęczarzy.

W całej Austrji zerwała się burza przeciwko radjopajęczarzom: funcjonarjusze administracji państwowej, przedewszystkiem listonosze, zostali upoważnieni nawet do wkraczania do wnętrza mieszkań, jeżeli powezmą podejrzenie, że lokator korzysta z aparatu radjowego, którego nie zgłosił. Właściciele domów i lokatorzy główni otrzymali formularze do wypełnienia — każdy o nieco odmiennym typie. W formularzu dla lokatorów jest rubryka dość osobliwie brzmiąca, mianowicie: „nie korzystam i nie korzystałem z radja", a obok „jestem radjopajęczarzem". Takie wzruszające przyznanie się do radjopajęczarstwa nagrodzone zostaje zwolenieniem od grzywny za przeszłość, oczywiście pod warunkiem „poprawy" na przyszłość. Kto i tym razem chciałby ukrywać nielegalny odbiornik— wcześniej lub później — wedle nowych przepisów — drogo za to zapłaci. „Ravag" austrjacki obliczył, że w Austrji jest conajmniej 60.000 radjopajęczarzy i, że radjofonja austrjacka poniosła z ich powodu około 5.000.000 zł. strat w ciągu 10 lat swego istnienia.

Pałac radjowy w Sowietach.

Na Miasnickoj Płoszczadzi w Moskwie budują „pałac", w którym mieścić się ma zarząd centrali radjofonji sowieckiej. Wedle słów korespondentów pism zagranicznych, ma to być gmach „grandioso" z centralną siedzibą radjofonji i doświadczalni telewizyjnej, podobno także największej w Europie. W gmachu będzie 55 studjów, olbrzymi teatr na otwartem powietrzu na 10.000 widzów. Prawdopodobnie tak wielki teatr wybudowany zostanie albo na olbrzymim tarasie, albo poprostu na placu obok gmachu, stanowiącym jedną całość architektoniczną. Budowa pałacu potrwać ma dwa lata, otwarcia zatem nie należy spodziewać się przed styczniem roku 1936.